№ 1 Warszawa, dnia 20 Grudnia (1 Stycznia) 1880|1 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

ROK 1880 I 1881.

O stary Roku — kiedy schodzisz z tronu,
Który splamiłeś własnemi czynami, —
Nikt się nie dotknie żałobnego dzwonu
Ni zejścia twego nie uświęci łzami.

Bo jako straszne jest owo konanie,
Gdy czarna przeszłość uchyla zasłonę; —
Tak strasznem było twoje panowanie:
Z samych klęsk tylko i ofiar złożone.

* * *

— Ty to rolnikom niszczyłeś zasiewy,
Tyś naprowadzał pożogi i głody,
Tyś burzył rzeki i tworzył wylewy;
I trzęsąc ziemią w gruz zamieniał grody!

Jak miecz zdradliwy czyli obosieczny,
Kiedy popadnie szalonemu w dłonie: —
Tak i ty dla nas byłeś niebezpieczny
Abyś go w czyjem nie zatopił łonie! —

Bo ile życia w młodości zaraniu,
A ile w życiu — cierpień się prześniło:
Tyle tyranii w twojem panowaniu,
Tyle bezrządu w twoich rządach było.

— O stary Roku, zginiesz w zapomnieniu,
Jak ten co ściera wstyd ze swego czoła; —
Bo tem — co dźwigasz na własnem sumieniu,
Nikt karty dziejów — zapełnić nie zdoła.

* * *

Ty zaś młodziеńcze pierwszy w lat dziesiątku,
Pełen nadziei i pełen uroku:
Okaż się godnym i w samym początku
Nagródź nam krzywdy gasnącego Roku!

Karol Kucz.

WESELE SONKI.

(Powieść z prawdziwego zdarzenia)

napisała

ROMANIA KAMIEŃSKA.

Zapłoniła lica młode
Nad wodą kalina,
Rozsławiła swą urodę
Młodziuchna dziewczyna.
Jasne liście pociemniały
Na szczycie kaliny,
Tęskne dumki zaszumiały
W serduszku dziewczyny.
I zawisła chmurka biała,
Jak poranku rosa,
I kalina wkrąg rozwiała
Sploty swego włosa.
I do dziewy przyszli swaty
Z uroczystem słowem,
W woniejącym wianku kwiaty
Płoną światłem nowem.
W pąk kalina powiązana
Strzechę wieńcem darzy,
Młoda dziewa zeswatana
O swym przyszłym marzy.
Już jej warkocz rozpleciony—
Łezka świeci w oku,
Już kaliny liść zwarzony
Nurza się w potoku.
I pożółkły, wypłowiały,
Trawy przy dolinie,
Gdzie się gwiazdki przyglądały
Rumianej kalinie;
I ucichło spospępniało
W chacie i komorze,
Gdy dziewczęcia już nie stało
Na ojcowskim dworze.
Przejdzie jesień, zima głucha,
Nad wodą, w krzewinie,
Biały gołąb znów zagrucha
Kwitnącej kalinie;
Lecz choć wiosna, rozwrze drogi
Po szerokim świecie,
Matko, już w rodzinne progi
Nie wróci twe dziecię.

U przyźb wiejskich ruta rośnie,
Wczesny hołd oddając wiośnie—
Ruta jasna, lecz jaśniejsza,
Kędy dziewa najkraśniejsza.
I lubystek tam wonieje,
Boże drzewko zieleniеje,
I nagietki, malwy, róże,
Te młodości wierne stróże.

Stoją rzędem długim chaty,
Na nim słoma albo łaty;
Wewnątrz kipią życia zdroje:
Praca, troski, niepokoje—
Czasem radość tam zaszumi,
Zaszeleści śpiew wesoły,
Bo mołojce jak sokoły,
Jak gołąbki znów dziewoje,
Dum miłosnych rój się tłumi,
Pieśń je chwyta w skrzydła swoje.

Po nad Słuczą, w skał oprawie,
Wieś szerokiem kołem leży,
Niby gwiazdka na murawie,
Gdzie się świat skrzydlaty pierzy,
I wśród pracy i zabawy
Krzepi siły na bój krwawy:—
Wieś w przezroczy wodnej tonie,

Drzew zielenią wieńcząc skronie.
Chaty kraszą wzgórza szare,
Przy nich gumna—nowe—stare—
Tu studzienka, tam krzyż wbity,
Białą chustą przepasany,
Kędy ludek pracowity
Niesie duch swój skołatany.

Kto w tej chacie z białą ścianą,
Z okiennicą malowaną,
Co od innych pokaźniejsza?
Czy tam dziewa dorodniejsza,
Czy gospodarz zebrał grosze
I już w pańskość dmie potrosze?
Brama rznięta, mnogość kwiecia,
Nigdzie brudu, nigdzie śmiecia,
Nowe gumna, błyszczy strzecha,
W oknach szyba czysta świeci,
Z sadu owoc się uśmiecha,
Niepsowany dłonią dzieci.

Kowal Krysztal jedną córę
Chowa w gniazdku tak usłanem;
I tym skarbem ku zazdrości,
I tem szczęściem z nieba danem,
Złoci cienie swej starości.
Dziewa piękna niby zorze,
Któż jej w krasie zrównać może,
Gdy uśmiecha się wesoła,
Śmiechem gwiazdy do sokoła.

Czemuż w chacie, gdzie ta róża,
Tak posępnie, niewesoło?
Zda się wisi nad nią burza...
Choć ją kwiaty zdobią w koło,
Lipa wonią oddech pieści
I rzeźwiąco tak szeleści—
Dziwny pomrok ją otacza,
Niby widmo dróg tułacza.
Drzwi zaparte, głuche ściany,
Zda się człowiek ztąd wygnany.

Matka w kącie siedzi wzdycha,
Ojciec mruczy sobie ścicha,
Opuściwszy włos na skronie;
Czasem zaklnie, wzniesie dłonie,
Zajrzy z boku do komory,
I jak dręczon wpływem zmory,
Twarz wykrzywia, chrząka, spluwa,
I brew siwą gniewnie zsuwa.

Czy w komorze donia (córka) marzy,
W jakim stroju jej do twarzy?
Czy usnęła po robocie?
Czy w zadumie—czy w tęsknocie—
Że tam cicho jak w kamieniu,
A posępnie jak w puszcz cieniu?
Smutne oko pięknej Sonki
Goni zdroju bieg śród łąki;
Głowa wsparta na okienku,
W twarzy wyraz grozy, lęku
I dzikiego osłupienia,
Co istotę w posąg zmienia.
O! znać Sonkę, tę sielankę,
Pól i lasów wychowankę,
Od kolebki, od pieluchy,
Inne piastowały duchy,
Jak jej wiejskie rówiennice!
Inne kształty, inne lice,
Z czoła myśli promień strzela
I wejrzeniu się udziela.
Lica jej, to kwiat jabłoni,
Pływający w świateł toni;
Gładkie, niby atłasowe,
Zda się białe, a różowe.
Głos srebrzysty, a mięciutki,
Oczy jak dwie niezabudki,
Włos jak dębu płowa kora,
Rzęsa, niby cień wieczora—
Smukła jak topola młoda,
O, niezwykła jej uroda!
W żyłach młodzców krew się warzy,
I podziwem patrzą starzy,
Gdy jak słońce nad potokiem,
Rzuci w koło jasnem okiem.

Długo stała tak milcząca,
Odrętwiała, bolejąca,
Śledząc fali lekkie tony;
Mrok już pokrył chatek ściany,
Ptaszę w gnieździe głowę skryło,
Ujarzmione nocy siłą,
Ona błędne swe zrzenice
Słała w cieniów tajemnice.

I.

Nad cichem siołem powstało słońce,
Lipcowe—krwawe—skwarne—palące;
Wieś cała jeszcze we śnie spoczywa,
Tylko fujarka już się odzywa:
Zamiata rosę perlistą z ziemi,
Rzewnemi tony, powłóczystemi.
Śpią wszyscy smacznie, w chacie, w komorze,
Tylko już bydła nie ma w oborze:
Zajada sobie pożywne trawy,
Z których poranek spędził kurzawy.
Niedziela—drzemią pługi i kosy,
Tylko dziewczyna już czesze włosy,
Patrząc w odłamek skośny lusterka,
Co uwiązł w ścianie, tuż u odźwierka.
Na stołku przed nią byndy (wstążki) kra-
[ciaste,
Czerwone buty, chustki pasiaste,
Dwa sznury pereł, mnogość koralów,
Fartuch, spódnica z jasnych perkalów—
Dziewczyna niby ranek śnieżuchna,
To młoda Warka—to Sonki druchna.
Sen już oddawna zleciał z jej oka,
Na czole troska leży głęboka;
Jak się nie troskać wiejskiej dziewczynie?
Ona przywodzi dzisiaj drużynie,
Gdzie wszystko z pańska... jaki strój włożyć,
Jak całą postać i twarz ułożyć?
Czy być wesołą, czy nasępioną?
Czy oczy powlec rzęsów osłoną
I patrzeć w ziemię—czy ludziom w twarze?
A może Pan Bóg za co ukarze
I widok swadźby ją onieśmieli,
A źli ludziska będą się śmieli...
Tak duma Warka i wkłada stroje:
Już od warkocza płyną wstąg zwoje,
Już przy kołnierzu śpinka ze stali,
Już pierś okrywa tarcza korali—
Za próg wybiegła, a w chwilę potem
Ulica brzmiała jej nóg tupotem.

Wieś cała płynie w kowala wrota,
Ci zaproszeni, ci choć z za płota
Radzi się przyjrzeć swadźbie wspaniałej.
Kowal ma grosze—wie to świat cały,
A córę jedną: wystąpi butnie,
Już ani chybił, tropaka utnie
Skrzypek półkowy, a miodu, piwa,
Kufy wytoczą...
Złoci się niwa
Coraz wspanialej słońcem lipcowem,
Dzwonek cerkiewny ruchem miarowym
Jutrznię wygłasza tylko w komorze,
Gdzie panna młoda, cień mroczy zorze...
Sonka na łożu jeszcze spoczywa,
Cicha bez ruchu, niby szczęśliwa;
Tylko błękitne oczy łzą świecą,
A z nich wejrzenia w dal tajną lecą,
Tęskne—zmroczone—długie—bez końca...
Tak patrzy w potok gałęź drzemiąca,
Okryta przedtem kwiatem, zielenią,
Gdy mgły jesienne w skielet ją zmienią.
Drużka ją trąca, z letargu budzi:
—Wstawaj—na dworze już tyle ludzi,
Do cerkwi pora, słońce wysoko—
Ona ponuro podnosi oko,
Zda się nic nie wie i nic nie słyszy,
Tonąc zmysłami w tej groźnej ciszy,
Którą zrodziły bólu wybuchy.
Nadbiegły w końcu inne dziewuchy,
By ją w godowe oblekać szaty,
I stoją patrząc na strój bogaty:
Jupki, gorsety galonem szyte,
Rzędy paciorów jak słońcem zmyte.
„A co to dziewki u was tak cicho?
Czy na was dzisiaj nasiadło licho?
Groźnie rzekł ojciec, w progu komory—
Do jakiejże to ściągacie pory?
Chce się wam w cerkwi świece pogasić?
Koło was trzeba jeszcze się łasić?
Nuże—ściągnijcie z łoża tę panią,
Niech włos rozplata—powietrze na nią!
To dla niej niczem ojcowskie słowa,
I dobrych ludzi serdeczna mowa?
To ona woli być osławioną,
Jak zostać czesną córką i żoną?
I jeszcze nosa drzeć będzie w górę!
Czy chcesz bym wyklął wyrodną córę?
Dziewczę z bolesnych dumań zbudzone,
Poniesło oko w tę groźną stronę,
Z kąd dolatywał dźwięk słów rodzica,
A wyraz grozy zażegł jej lica.
„Ojcze, nie klnijcie!—jam już przeklęta,
Zaledwie w łonie matki poczęta;
Gdy mnie w żywota wpisano karty,
Próg czarnej klątwy stał już otwarty...
Byłoż-to życie? to wstęp do grobu—
Na życie zdawien braknie zasobu...
Ciągniecie w przepaść—Bóg, ojcze, z wami,
Żal do was duszy mojej nie plami:
Wyście niewinni—winne to życie"...
„O, jak jej słowa płyną obficie!
Znać że z rozumem książek zbratana...
Dosyć już tego moja kochana!
Słowa mej woli nie przeinaczą,
Na wiatr nieś sobie pieśń swą żebraczą...
Głupie, a nędzne ze mnie ojczysko,
Żem dotąd dom mój na pośmiewisko,
Przez nieuwagę własną narażał!—
Żem na postępki dziecka nie zważał,
Nie pędził w grzędy lub do kądzieli,
Niechby te księgi kaduki wzięli!
Czekaj!—wraz wszystko na ogniu spalę,
Niech idzie służyć szatana chwalę!"
„Ten papier martwy, te słów szeregi
Mogą już teraz iść z dymem... śniegi
Topnieją co rok, znikają z ziemi,
Gdy ją rosami użyznią swemi;
I ziarno w roli rzucone znika,
Co kłos na radość daje rolnika.
O, co jest siłą, siłą zostaje,
I robi swoje i zmartwychwstaje,
Choć niewidzialne ludzkiemu oku!
Toż gdy duch ludzki opadnie z mroku,

I w księgach chwyci świateł nasienie,
Już mu nie straszne tych ksiąg zniszczenie;
Co tam jest duchem, już w duszy leży"...
„I sromem czoło ci nie zabieży,
Prawiąc tak ojcu? Boże jedyny!
Za jakie grzechy za jakie winy,
Taka pokuta! Czarna godzino!
Licho ślub chyba wzięło z dziewczyną?...
Toż ty wieśniaczka z dziada, pradziada,
Wieśniak nie z księgą, lecz z Bogiem gada,
Bo co na niebie i co na ziemi,
To Bóg mu oddał słowy własnemi—
Rozumiesz? Jego lasy i pola,
Jemu deszcz pada, gdy oschnie rola,
Dla niego słońce wschodzi, zachodzi,
On skarbnik tego, co ziemia rodzi".—
I sapnął starzec i spojrzał z góry,
W brodzie swe długie topiąc pazury.
„Są prawdy stare, są prawdy nowe,
A choć te z tamtych biorą osnowę,
Każdy dopatrzy łatwo przemiany,
Bo świat nie stoi tu przykowany...
Dawniej się mienił ten, ów wybranym,
A stojąc w kole zaczarowanem
Swojej wielkości, gniótł, spychał drugich
W szeregi owych losem gnębionych—
Niekiedy nawet w pośród walk długich—
Choć Bóg chce wszystkich mieć tu zbawionych;
Dziś czasy starły takie pojęcia—
Słońce już równo dla wszystkich schodzi,
Każdy do szczęścia i łez się rodzi;
Kto więcej zasług, ten więcej wzięcia
Ma tu u ludzi i tam u Boga,
Do zasług wszystkim otwarta droga.
Lecz nie sam człowiek—nawet i zwierzę
Jest panem miejsca, gdzie zrobi leże
Dla swej rodziny"...
„Licho nam po tem,
Co gdzie się dzieje z wilkiem lub kotem!
Ty swym rozumem nie durz starego,
Już mnie nie skłonisz wtórnie do swego...
Długo słuchałem twego szczebiotu,
Gnieżdżąc w mej głowie książkowe dziwy,
A tych uczepion, jak pjany płotu,
Mówiłem w duszy: ten świat szczęśliwy
Musi być kiedyś, idąc tą drogą—
Te światła czarną dolę przemogą,
I ludziom będzie jak świętym w niebie—
I spoglądałem z chlubą na ciebie,
Że i ty w poczet jasnych wpisana,
Będziesz tam świecić, jak gwiazda Pana.
Czegożem dożył?—bólu i sromu!...
Czy zakop w ziemię, czy wypędź z domu,
Żeby palcami wkrąg nie stykali—
Niech takie światło przepadnie! Dalej
Mówiłaś: Witold to nasz od serca,
On doprowadzi mnie do kobierca,
I wasza starość w radości spłynie—
Gdzież twoja prawda? przepadła w ślinie...
Obym nie dożył takiej godziny!
Znać Pan Bóg skarał za ojców winy!
O, ten twój miły, serdeczny panek,
Niech tak zmarnieje, jak zwiądł twój wianek!
Jak on się znęcił nad dni twych wiosną,
Niech tak mu kolce w sercu urosną!"
Lecz znać żal uczuł w sercu zburzonem,
Widząc jak z okiem łzami zwilżonem,
Sonka ukryła twarz bladą w dłonie,
Bo ciągnął dalej w weselszym tonie:
„Lecz Bóg z nim doniu! ot pluń na marę!
Nie wart on łez twych gdy złamał wiarę...
Czy tyle świata, co jeno w oknie?
Tfu! po niewdzięcznym ona w łzach moknie,
Jakby śród ludzi drugi bogdanek,
Niegodzien sięgnąć po kraśny wianek!
Ot dwie na krzaku rozkwitną róże,
I dwa gołębie bujają w górze;
Różę ktoś zerwie, strzelec gołębia
Zabije w locie—i cóż ztąd przecie?
Żywe na nowo z żywem się splecie,
Martwe pośpieszy, gdzie martwych głębia,
I znów jak było, tak jest na świecie".
„Ojcze, to trudno wyrwać z pamięci,
Co serce wyzna, dusza uświęci,
To jakby zmienić ojców poddasze!
Tyś sam powiadał: toż ono ptaszę
Zda się, że z jednej z nami zagrody"...
„To prawda doniu—ale za młody,
A krew gorąca—ruszył w świat inny,
Ot, i odwyknął!... Bóg dobroczynny
Nas nie opuści... Ty śpiesz pod wieniec—
Toż i to raźny, gładki młodzieniec,
Co ciebie bierze—Bóg mu niech płaci!
Przynajmniej cześć się twa nie zatraci...
Tu ktoby ciebie przyjął do domu?
Takbyś zmarniała śród łez i sromu"...
„Nie sławy szukam—pełnię twą wolę,
O ciężkie ojcze są nasze bole!
Ludzie gadają, lecz Bóg sam widzi,
Że się przeszłości swojej nie wstydzi
Ta Sonka wasza"...
„No, zobaczymy,
Wówczas obmowy znikną jak dymy...
Tyś córka czesnych, zbłądziłaś wielce,
Dając pankowi niewinne serce,
Ale ci Hospod' (Bóg! odpuść grzechu...
Raz się wymazać z szatana cechu,
Ot, już i zaraz wszystko inaczej:
Ludzie przebaczą i Bóg przebaczy.
Nuż do zwierciadła!—róbcie jak wiecie,
Serdeczne drużki! strójcie mi dziecię,
Niechaj po ludzku przecie wygląda:
Od dziewki każdy przystrojem żąda.
Tylko szmat lackich nie wkładać—każę;
Niech się twa wina do szczętu zmaże".

Zabrzmiała wrzawa do koła chaty,
Cisną się drużki, bojary, swaty,
Każdy swej roli bacznie dogląda,
Pysznić się strojem i miną żąda,
A na podwórku stoją już wozy,
Powyplatane prętami z łozy
Przy nich po trójce srokatych koni,
I pełno świeżej dziegciowej woni.
Na przodzie stoi wóz panny młodej,
Tam obmyślano więcej wygody:
Woniące siano siedzenie ściele,
I na kilimku pstrych włóczek wiele.
Obok wierzchowce—jeden z nich kary—
Na nich pan młody i dwaj bojary (drużbowie),
Popędzą naprzód przed cerkwi wrota.
Bojary smutne—i nie dziwota!
Co za uciecha! co za biesiada!
Zrzenicą młodej łza jeno włada,
Z ust jedno drużne nie wyjdzie słowo—
Trup obleczony szatą gotową.
Toż żeby druchny nie wzięły z chaty,
I nie zawiedli do woza swaty,
Posągu tego z mirtem na czole
Niktby nie witał w weselnych kole.

Wrzawa się wzmaga, klaszczą biczyska,
Matka raz jeszcze donię swą ściska,
Do serca tuli i błogosławi,
Krzyżem namaszcza, łzami się dławi,
I puszcza wreszcie z swego objęcia,
Ponuro patrząc w przyszłość dziewczęcia.
Puste podwórko—wozy już drogą
Turkocą, wioząc donię niebogą!
Pył jeszcze chwilę znaczył ich ślady,
Potem się tuman rozpostarł blady,
A potem—potem—cicho jak w grobie!...
Matko, już córki nie wrócą tobie!
W cerkiewce drużka włos jej nie rozkłada,
A ona stoi jak chusta blada;
Pop dłoń jej wciska w mężowskie dłonie,
A ona w cichej zadumie tonie;
Pop każe mówić przysięgi słowa,
A ona oczy pod rzęsy chowa
I milczy: widać, kłamać nie umie,
Lub zgoła jego słów nie rozumie.
Lecz ksiądz na dąsy dziewki nie zważał,
Albo w milczeniu wstyd wyobrażał,
Bo swój mołebeń (modlitwa) czytał wciąż dalej,
Póki na ślubnym kobiercu stali;
Potrzykroć w końcu ich oprowadził
Koło prestołu, a potem radził,
Jak żyć im trzeba, jak się miłować,
Jak dziatki w Bożej bojaźni chować,
Kazał mężowi uściskać żonę,
I rzekł: obrzędy już dopełnione.

(d. c. n.)

WALET PIKOWY.

NOWELLA

Salvatora Fariny.

(Dalszy ciąg).

VII.

Nie chciałbym powiedzieć mojemu czytelnikowi nic nieprzyjemnego, lecz dowiedzioną jest rzeczą, iż tak on, jak i ja, jego przyjaciele i moi, wszyscy mamy demona ukrytego za skórą. Donato, nam wspólny przyjaciel, boryka się właśnie w tej chwili ze swoim demonem, bardzo mądrym i przebiegłym.

Otóż ten demon rzekł do niego: Teraz, kiedy masz trzysta pięćdziesiąt franków w kieszeni, nie pójdziesz ani do kawiarni, ani do klubu, żeby się popisywać przed przyjaciołmi z niezamąconej obojętności na wypadki lasowe. Nie zapalisz olbrzymiego hawańskiego cygara i nie będziesz puszczał im dymu pod nos, jak to się zwykle czyni w podobnych wypadkach. A wśród dymu nie wyjdą z ust twoich szydercze wyrazy, nie będziesz się niby wyśmiewał z mechaniki, architektury i wszystkich rzeczy poważnych. Nie, mój kochany Donatku, ty nic podobnego nie uczynisz.

Gdyby przemawiał inaczej, Donato oburzyłby się i powstrzymał, lecz doradca wiedział, co czynił, to też zaledwie się ściemniło, Donato z lekkim sercem i swobodnym umysłem, wziąwszy cygaro w usta skierował się wesoło do klubu, dokąd i jego demon za nim pospieszył.

Zdziwienie powszechne. Oh, ah! dają się słyszeć tu i owdzie uśmiechy, energiczne ściskanie ręki, nieme pytania, lub otwarcie objaśnione... Prawdziwy tryumf.

Donato wchodzi z godnością, pełną skromności. Układa twarz do wesołego uśmiechu, co nadaje mu nieprzepartą wyższość nad kolegami, prawi tysią-

czne bzdurstwa, których sam nie rozumie. Wzniosłym jest w swej głupocie.

Wśród nieustannych objawów wesołego humoru, Donato zachowuje się spokojnie, buja się tylko na swem krześle i pali cygaro. A kiedy wymknie mu się z ust jakie słówko, wszyscy chórem wybuchają głośnym śmiechem, gotowi przysiądz, że nigdy nic dowcipniejszego nie słyszeli.

Jakaś myśl wcisnęła się Donatowi do mózgu, i bądź co bądź uporczywie w nim się trzymała. Jeden z jego towarzyszów wspomniał, że Walenty kupił sobie gniadego konia, Walenty, co wygrał od niego sześć tysięcy franków.

Zapewne jego demon mu podszepnął: ty nie będziesz miał takiego, ale cóż cię może obchodzić, jaki użytek zrobił Walenty z pieniędzy, które wygrał w karty?

— Walenty ma szczęście, rzekł Costino, on co wieczór wygrywa.

— Kto pójdzie zobaczyć? zawołał głos jakiś.

— Ja!

— Ja!

— Ja!

Wychodzą. Donato wie, gdzie idą, lecz nie rusza się z miejsca. Demon mu szepcze: noga twoja nie powinna postać w domu gry, nie powinna cię uwieść chętka popatrzenia na to widowisko, nie mów sobie, że w tem nie ma nic złego.

I Donato wstaje i wychodzi. Kiedy jest na ulicy myśli sobie: wszystko to jedno, czy pójdę w tę lub inną stronę. Kiedy przechodzi koło „wspomnianego domu, wyprowadza wiosek, że byłaby to słabość niesłychana, żeby nie wszedł do niego, czuje się silnym, grać nie będzie.

Oto znajduje się już na sali i siedzi na kanapie z miną najobojętniejszą w świecie.

Szczęśliwy Walenty gra i wygrywa.

— Czy uważasz, szepnął sąsiad Donatowi, że Walenty zmienił dziś miejsce. Utrzymuje on, że fortuna, jak waryatka jaka, coraz w innem miejscu sadowi się przy stole zielonym. Aby więc wygrać, cała sztuka polega na tem, aby o jeden krok poprzedzić ją.

— O bynajmniej, odezwał się ktoś inny, ja znam sztukę wygrywania, ale to nie w ten sposób.

— A jakaż to sztuka?

— Nie można się jej nauczyć. Trzeba umieć czatować i wybrać stosowną chwilę.

— Ale kto nas o niej zawiadomi.

— Nie wiem. Ale, że się znajdzie ktoś lub coś, to rzecz pewna. Ileż to razy biorąc karty lub kości do ręki, jestem pewny wygranej, lecz gdy ten pomyślny wiatr wieje zaledwie kwadrans, a najdłużej pół godziny, należy więc spieszyć się, korzystać ze sposobności, stawiać grubo, a potem nie grać wcale.

— W takim razie, czemu nie zostałeś milionerem? Gdyby to można schwycić wiatr pomyślny... Nie, nie, ja innego trzymam się systemu. Jest nim teorya prawdopodobieństwa. Na przykład, Walenty trzyma bank. Siadam pomiędzy ponterami, i czekam aż wygra trzy albo cztery razy z kolei; za piątym razem stawiam, mając za sobą cztery prawdopodobieństwa wygranej.

— A jednak możesz przegrać.

— Zapewne, lecz wygrana jest pewniejszą, w razie zaś przegranej zdwajam stawkę.

— Chcesz wiedzieć, jaki jest najpewniejszy sposób wygrania? rzekł Donatowi pocichu jego demon. Nie grać wcale. Nie myśl czasem, że ryzykując niewielką sumkę, przy pomyślnym wietrze odzyskać możesz przegrane pieniądze.

Walenty wciąż wygrywał. Cztery razy wygrał z kolei, toć musi przegrać za piątym razem. Donato nie wie, co się z nim dzieje, czuje jakiś pociąg, jakby go pochłaniał przypływ morza, być może, że to ów sławny wiatr pomyślny, który go popycha. A chyba nie byłoby sprawiedliwości na świecie, żeby Walenty miał się utrzymać przy koniu którego kupił za cudze pieniądze... Wszak Donato może trochę ryzykować, ot tylko pięćdziesiąt franków, gdy je przegra zostanie mu jeszcze trzysta, a wtedy ucieknie... A jeżeli wygra, jeżeli wygra!

Znajduje się już przy stole zielonym... Nogi drżą pod nim, a serce bije, jak młotem.

Jakaś ręka dotyka jego ramion, aby go powstrzymać. Odwraca twarz pobladłą. To pan Azdrubal... w swoim paltocie zapiętym od góry do dołu, z wykrzywionym krawatem i dobrotliwym uśmiechem na ustach.

Tysiące myśli na raz przebiegło mu po głowie. Pan Azdrubal znajduje się więc w domu gry? Po co on przyszedł? Dlaczego wstrzymuje go? Więc go szpiegował? Być może, polecono mu, aby przeszkodził powtórzonemu upadkowi Donata? Może też, powód był mniej szlachetny, lecz prawdopodobniejszy, może pan Azdrubal dla robienia interesów uczęszcza do domu gry? Donato przypomina sobie zrobiony przed chwilą układ, przywodzi sobie na myśl zrobiony rachunek i wyprowadza wniosek, że Cherubin Dolci i człowiek w zapiętym paltocie nie tylko z powierzchowności są do siebie podobni, lecz stanowią dobraną parę... Lotem błyskawicy pomyślał o tem wszystkiem pomiędzy dwoma uśmiechami i uściśnieniem ręki.

Pan Azdrubal nie wypuszcza z ręki swojego młodego przyjaciela. Lekko odciąga go na bok, uśmiecha się zawsze i spogląda dobrotliwie na niego i rzecze:

— Chcesz pan grać, przyznaj się. Znam ja z doświadczenia takie zachcianki! Miałem podejrzenie... dla tego przyszedłem tu, powiadam otwarcie, bo widzisz, jeśli masz grać jeszcze, to nie wiem dlaczego nie miałbyś grać ze mną...

Donato zrobił duże oczy, nie chce mu się wierzyć, aby pan Azdrubal mówił na seryo, lecz ten upewniał go.

— I ja grałem niegdyś i dziś gram niekiedy. Jeśli dajesz mi pan wiarę, to graj ze mną, abyś się skwitował, czego sobie wielce życzę. Karty są zdradzieckie, możesz pan przegrać do kogo innego, a wtedy bardzo i bardzo toby mnie zasmuciło.

Młodzieniec który doskonale zrozumiał alluzyą, miałby ochotę się obrazić, zwłaszcza że poczucie sprawiedliwości mówi mu, że pan Azdrubal ma słuszność, nachmurzył się więc na niego, lecz ten nie zdaje się nawet zwracać na to uwagi. Uśmiecha się do niego, pociąga do zielonego stołu, zasadza go przy nim, sam na przeciw sadowi się i każe podać talią kart; wszystko to ze szczerą dobrotliwością. z miną na wpół żartobliwą, z której Donato rad nieraz rozśmiać się musi.

Śmieje się i drży zarazem; wstydzi się i dręczy szukając jakich napomnień i wymówek na twarzy pana Azdrubala. Lecz ten rozpoczął już swoją rolę gracza, żywo tasuje karty i kładzie je na stole.

— Jaką grę wybierasz panie Donato?

Donato sam nie wie. Ledwie zdobyć się może na znak, iż zostawia to do woli partnera, a tymczasem jakby znękany zbiera karty.

— Bardzo dobrze, rzecze pan Azdrubal myląc się co do znaczenia tego znaku, gra bardzo prosta, gra na poczekaniu, kiedy się nie ma już czasu, a chcemy jeszcze probować szczęścia śmiałym i szybkim atakiem; jest to jedyna gra we dwóch, niezbyt długa i niezbyt trudna. Bardzo dobrze, widzę, że z pana może być gracz wyborny. Karta starsza wygrywa... bardzo dobrze. Wolałbym jaką grę mniej nagłą, a więcej zajmującą. Pańska gra bohaterska nie daje czasu na wzruszenia.

Donato daje do zrozumienia przez stłumiony wykrzyk, iż wszelka gra jest mu obojętną. Chcąc być sprawiedliwym, należy dodać, iż ogląda się na wszystkie strony, i gdyby miał drzwi przed sobą, drapnąłby, osadzając na koszu pana Azdrubala. Tymczasem dwóch, czy trzech otoczyło stolik, aby się grze przypatrzeć.

— Wybornie, rzekł człowieczek, zapinając ostatni guzik pod samą brodą. Kiedy tak się rzeczy mają, proponuję panu grę bardzo zajmującą i wzruszającą, a która dozwala, jak to się mówi, pociągnąć kartę za ucho. Rozdzielemy talią na dwie połowy, wybierzmy sobie według upodobania jaką kartę, i ten kto ją znajdzie w swojej połowie wygrywa.

— Dobrze.

— Jaka stawka?

Donato z wielkim wysiłkiem woli, aby się nie zająknąć, wybełkotał:

— Pięćdziesiąt franków.

Trzech ciekawskich nie widzi pieniędzy na stole i omyleni w nadziei, co do wysokości stawki, poczęli się przypatrywać szczęściu Walentego.

Pan Azdrubal nie odzywa się już; bierze talią kart, tasuje ją znowu, i zdaje się jakby wszystkie swoje zdolności wypotrzebowywał do tej operacyi. Podaje swojemu partnerowi talią, aby zebrał, i wyciąga kartę, która ma roztrzygnąć grę.

VIII.

Zachęcony wdzięcznem poruszeniem i miłym uśmiechem, Donato bierze w zęby swoje hawańskie cygaro, podnosi waleta pikowego, wkłada go do talii i miesza ją, naśladując dość niezgrabnie swobodną postawę swojego przeciwnika. Prawdziwa to łaska nieba, że pan Azdrubal, zajęty poprawianiem ubrania. które mu się gurbi na piersiach, zbiera karty nie podnosząc oczu, gdyż inaczej postrzegłby, że ręce studenta drżą i twarz mu się mieni.

Młodzieniec chwyta swoją połowę, przegląda karty raz i drugi, potem ze drżeniem spogląda na partnera, który wsparłszy się łokciem o stół, podnosi karty do wysokości nosa, i ciągnie za ucho buntowniczą kartę.

Donato nie chce wierzyć, że przegrał. Przegląda raz jeszcze swoje karty... potem głowę podnosi, niecierpliwie czekając na revanches. Pan Azdrubal nie zwraca na niego uwagi; dostrzega wreszcie w swojej talii czarną figurę i probuje wyrzucić ją.

— Przegrałem, rzecze Donato.

Pan Azdrubal daje mu znak, aby zaczekał a potem z wielkim wysiłkiem odsłania zwycięzką kartę.

— Tak, przegrałeś, rzecze pokazując waleta pikowego, i dodaje głosem smutnym:

— Pozwól powiedzieć sobie, żeś na to zasłużył. Tak się nie gra. Aby los zmusić trzeba naprzó[illegible] zatryumfować nad swoją własną niecierpliwością. Takie rozrzucanie kart, to profanacya.

Donato probuje się rozśmiać, lecz jego partne[illegible] dodaje:

— Nie należy się śmiać, to zasadnicze praw[illegible] sztuki.

Tymczasem pan Azdrubal odpiął swoje ubrani[illegible] wydobył z niego pugilares i potem znów się zapi[illegible]

od góry do dołu. Młodzieniec wydobył także pugilares, wziął z niego bilet pięćdziesiąt frankowy i przesunął go partnerowi.

Gra szła dalej. Tym razem pan Azdrubal tasował karty, lecz znów Donato przegrał.

Robi mu się gorąco, cały jest w potach, partner zaś jego z najzimniejszą krwią daje mu rewansz i wygrywa. Upał staje się nieznośnym.

W pugilaresie studenta zostało już tylko sto czterdzieści franków, resztę pochłonął portfel należący do pana Azdrubala. Wkrótce otwiera się on po raz ostatni i sto czterdzieści dziewięć franków połączyło się ze swojemi towarzyszami.

Kawałek cygara, które kosztowało Donata 350 franków z ust mu wypadł. Donato traci siły; krople potu pokryły mu czoło i spływają po twarzy. Cała postać młodzieńca wybornie uosabia nieszczęście.

Cóż teraz robić, gdy nie ma innego ratunku, jak dalej probować szczęścia.

Pan Azdrubal schował właśnie wygrane pieniądze, podnosi głowę z uśmiechem, przysuwa talią kart, pytając młodzieńca monotonnym głosem, który zdaje się być okrutnym:

— Rewansz?

Cóż to za wyborny człowiek, ufa mu; skłonnym jest grać z nim na kredyt. naraża się na utratę wygranych pieniędzy, a może i czego więcej. Donato opadł na siłach, nie może zdobyć się na odpowiedź. Partner odgaduje jego skrupuły i uprzedza je.

— Ja wiem, co robię, rzecze mrugając okiem z miną łotrowską, wiem, co jest wart pan Donato, wiem, jak daleko mogę się posunąć bez narażenia na stratę.

I wciąż powtarza z jednostajną łagodnością.

— Rewansz?

Donato namyśla się, czuje strach.

— Sto franków!

Tym razem wygrywa, i gniewa się na siebie że wyższej nie podał stawki.

— Dwieście pięćdziesiąt!

— Dwieście pięćdziesiąt, jak echo powtarza pan Azdrubal, podając karty, nie przymuszaj się, jeśli nie podoba ci się walet pikowy, wybierz inną kartę.

Donato słyszy głos, który mu szepcze: nie! odpowiada więc że trzyma za waletem, i śmiało szuka pomiędzy swojemi kartami, będąc prawie pewnym że go znajdzie. Głos ten skłamał. Donato przegrywa, pan Azdrubal wydobywa karteczkę, na której zapisuje ołówkiem sto pięćdziesiąt franków, jako wygrane.

Jakiś nagły przewrót dokonywa się w duszy Donata. O ile dotąd był bojaźliwym, o tyle teraz staje się śmiałym. Nieustraszoność pierwszej chwili jest niczem w porównaniu z odwagą jaka następuje po doznanym strachu. Pan Azdrubal upewnia, że wie kiedy i w jaki sposób się zatrzymać. Donato przeciwnie nie może tego powiedzieć; na drodze do przepaści (tak przynajmniej jest przekonany) postanowił biedz z zamkniętemi oczami. Straszna gra rozpoczyna się na nowo. Dopóki wychudły pugilares studenta występował przeciwko pękatemu pugilaresowi pana Azdrubala niebezpieczeństwo walki było pewne prawie nieuniknione. Cyfry wciąż się zwiększały; stawka na słowo była bitwą napisaną liczbami.

Karty przechodzą z jednej ręki do drugiej. Jedna, dwie, trzy koleje; walet pikowy pozostaje zawsze wiernym panu Azdrubalowi. Ah! zła myśl wkrada się do umysłu młodzieńca. Stara się ją odegnać, wstrząsa głową, włosy wtył odgarnia, lecz nadaremnie, czarna myśl wciąż się go trzyma.

— A no, proszę, rzekł partner, bacznie mu się przyglądając, walet pikowy sprzyja mi widocznie. Obierz pan inną kartę.

Donato czuje, że odgadnięto myśl jego i zaczerwienił się jak piwonia, ale czyliż to jego winą, że ta myśl go opanowała. Czyliż nie słyszał jak mu opowiadano podobne wypadki. Znajdują się ludzie tak zręczni... Co najmniej mógł uczynić dla usunięcia tego podejrzenia, to oświadczyć, iż się nie myli.

— Nie, panie, rzekł, w grze należy być upartym.

Wygrywa, znów nabiera ducha, podwaja stawkę i przegrywa. Prawdziwie pan Azdrubal trzyma los za uzdeczkę i kieruje nim, jak mu się podoba.

— Przyjmuję pańską radę, wyjąkał wreszcie student. Wybieram asa kierowego i zdwajam stawkę.

Nasz człowieczek daje znak potwierdzający i nachyla się dla zanotowania swojego ostatniego zwycięztwa. Karty stasowane na nowo i rozdzielone. Dziwne szyderstwo losu! Donato siedzi zadumany przed waletem pikowym.

Zdaje się młodzieńcowi; że fatalna karta zostaje pod rozkazami jego tajemniczego nieprzyjaciela, bo nietylko mu odjęła szansę wygranej, lecz jeszcze przychodzi naigrawać się z niego. Patrzy na nią i wielka ochota go bierze poszarpać ją na kawałki. Dziwaczne idee zalegają mu ociężałą wyobraźnię. Ma widzenie. Utkwiwszy wzrok w chudą postać szkaradnego waleta, dopatruje jakby rodowe podobieństwo pomiędzy nim, a swoim szczęśliwym przeciwnikiem; przymierza kask metalowy na jednego i drugiego, i te dwie postaci zlewają się w jedną. Obadwaj mają postać chuderlawą, ruchliwą; obadwaj mrugają okiem, a zapięte pod szyją ubranie zdaje się skrajane przez tego samego krawca, co robił kurtkę drugiego.

Wizyę te, przybierającą co raz bardziej cechy oczywistości, przerywa nagle wykrzyk pana Azdrubala, który naśladując szczęśliwych graczów, objawia swoje współczucie, układa twarz, poruszenie, ton nawet głosu dla wyrażenia swojego szczerego politowania.

— Ależ w nieszczęśliwem jesteś dziś usposobieniu, tak zawziętego losu nigdy nie widziałem, słowo honoru, nie widziałem.

Przez jakiś tajemny urok, pociechy wygłaszające nieszczęście przegrywającego są jakby balsamem przyłożonym do rany jego worka, ponieważ nikt z zimną krwią nie dałby złamanego grosza za okrutne politowanie tego, na czyją korzyść ten worek został wypróżniony.

Wszelako Donato czuje wdzięczność względem swojego przeciwnika i pomimo rozpaczy w sercu uśmiecha się do niego. Ten zaś mówi dalej.

— Jeśli zechcesz poczekać na dzień szczęśliwszy a teraz się powstrzymać, bo to nie jest rozsądnie tak być upartym... Wierz mi, że to bardzo nierozsądnie... pojmujesz mnie; będę na pańskie rozkazy jutro, pojutrze, kiedy pan zechcesz.

Donato blednieje, drży, lęka się, aby partner mu się nie wymknął; przerywa tę słodkawą propozycyą tasując karty i mówiąc:

— Jeszcze raz tylko. Wróćmy do waleta pikowego.

Nasz człowiek milczy, poprawia ubranie i końce krawata, przybiera postawę prostopadłą, spogląda bokiem na notatkę zapisaną olbrzymiemi cyframi.

Znaczenie tego spojrzenia pojmuje dobrze młodzieniec. Mniejsza o to. Nie jest to czas do rachowania, zastanowienia się, i wahania; przegrał już bardzo dużo, przegra jeszcze więcej; wyszedłszy z granic możliwości, ruina jest niechybną, a wszystko już jedno, czy ją spowoduje dziesięć czy sto tysięcy. Przegrywa, zdwaja stawkę, znów przegrywa, zdwaja jeszcze i potraja bez bólu, prawie obojętnie. Jedna tylko rzecz go niepokoi i przestrasza, aby przeciwnik w danej chwili nie porzucił gry, mówiąc z uśmiechem Mefista: Dosyć już tego. A przecież, jeśli Donato ma jeszcze jaką nadzieję, to opiera się ona na wytrwałym uporze. Niech tylko wiatr pomyślny zawieje, a w dziesięć minut zwięte te przeklęte liczby szeregiem ciągnące się w notatce, i cała gra będzie tylko zabawką dziecinną, okrótną wprawdzie, ale próżną.

Donato po raz pierwszy od czasu, jak zasiadł na przeciw pana Azdrubala, obejrzał się w koło siebie: sala przepełniona ludźmi z kwaśnemi minami. Co chwila od stołu, przy którym króluje Walenty, odchodzi jaki gracz, ociera spocone czoło, gniecie chustkę i zaciska usta, tłumiąc gniew i złość. Donato nie może powstrzymać się także od tej nędznej próżności gracza. Jeżeli kto zbliży się do niego, i zapyta, jak mu się powodzi, wstrząsa głową i odpowiada z uśmiechem:

— Przegrywam.

I rzeczywiście wciąż przegrywał. Nieubłagany los ciągle go prześladował.

A przed oczyma jego duszy snują się widziadła, które daremnie usiłuje powstrzymać w duszącej atmosferze szulerni. Ojciec o białych włosach, milutka siostrzyczka i ukochana pierwszą miłością Konstancya. Myśl jego wybiega niekiedy po za nieszczęsne mury, błądzi po polach, zroszonych wodami rzeczki Lambro, wstępuje na spadzistą pochyłość lasku, i odtwarza sobie wszystkie piękności tego czarownego widoku nocnego. Oto wietrzyk porusza posępnemi drzewami; oto długa alea akacyowa, a za nią wielki gościniec rozwijający się jak szara wstęga; gwiazdy połyskują na czarnem niebie, chmury przesuwają się zwolna, a w koło otaczają go zaledwie widzialne w ciemności góry. Niczego tu nie brak, nawet przerywanego chóru żab naigrawająco skrzeczących.

...A on przegrywa. A jeśli mu się los na chwilę uśmiechnie, to jedynie na to, aby go tem dotkliwiej wyszydzić.

Dotąd sztywny i zapięty pan Azdrubal, zaczyna się kręcić na krześle, ogląda się i wyraźnie daje znaki zaniepokojenia. Wygląda on, jak człowiek, który chce coś powiedzieć i nie wie, jak się wziąć do tego; wreszcie rozpina się i wydobywa z olbrzymiej kieszeni chustkę jedwabną, którą niby spocone czoło ociera. Patrząc na niego w tej chwili, sądziłby kto, że jest znużony trudami, gdy po prostu jest zakłopotany.

— Oh! posłuchaj mnie pan, rzecze wreszcie, ściskając fular obiemi rękami dla nadania sobie energii, muszę ci wyznać, iż nie mogę iść już dalej. Przegrałeś pan wszystko, co mogłeś przegrać. Nie mówię, żebyś pan nie mógł zapłacić dwa i trzy razy więcej, nie, ja tego nie mówię. Jesteś pan młody, jesteś prawie inżynierem, a inżynierowie z talentem, jak mówi Martino Bruscoli... Wszystko to prawdopodobne, bardzo prawdopodobne, lecz przyszłość tak sama... bez innego kapitału...

Zatrzymał się, przerywając mowę, aby Donato coś mu odpowiedział, lecz Donato, jak skamieniały milczy, wtedy mówi dalej głosem przyciszonym, jakby czynił jakie zwierzenie.

— Chciałem koniecznie, abyś się odbił; grałem na twoje przyszłe dziedzictwo i naraziłem się na ryzyko, gdyż mógłbyś, od czego niech cię Bóg strzeże, uprzedzić porządek naturalny, mógłbyś za-

chorować, a potem... rozumiesz mnie pan? Ale bądź co bądź, gra miała jakąś podstawę. Teraz doszliśmy do granic ostatnich, a chcąc dalej grać, byłoby to budować na powietrzu... bez żadnej podstawy.

Zatrzymał się na chwilę, potem znów mówił dalej głosem pełnym politowania.

— Wierz mi pan, że mi to bardzo przykro iż ciągle przegrywasz. Ależ to bezprzykładne nieszczęście, bezprzykładne... Otóż wiesz pan co, aby ci dowieść, że nie chcę nadużywać twojego położenia, przyjmuję jeszcze jedną partyą i to ostatnią. Jeśli ci fortuna sprzyjać będzie i powróci straty, to przynajmniej nie powiem, żem temu przeszkodził.

Donatowi serce uderzyło radośnie.

— Przyjmuję, rzekł, i dodaję, idąc za natchnieniem, że tym razem, u kogo się znajdzie walet pikowy, ten przegra.

Partya ta budząca te same obawy, co pierwsza, to straszna groźba, to ostatni wyraz nieszczęścia bez ratunku.

Młodzieniec tasuje karty, zbiera, wszystko sam robi; jego partner nic mu nie przeszkadza.

— Biedny panie Donato, rzecze potem pan Azdrubal, nie możesz zgadnąć ani razu. Nie mam waleta pikowego. Szukam go... W istocie nie mam go... Biedny panie Donato.

Wygłosiwszy to współubolewanie, zapisuje w notatkach nową swoją wygranę, zbiera papiery, chowa wszystko w kieszenie i zapina się od góry do dołu po raz ostatni.

Donato nie słyszy go, nie widzi nawet. Nieruchomy, przybity, siedzi, utkwiwszy oczy w tego waleta pikowego o chuderlawej ruchliwej postaci, w czarnej kurtce i kasku metalowym.

(d. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

OBRAZY Z ŻYCIA FLORY.

przez

Wincentego Niewiadomskiego.

Zajmującą tę książkę można uważać za botanikę popularną, i jako taka bardzo jest pożądana, skoro tak w szkolnem jak w domowem wychowaniu, historya naturalna tak bardzo jest zaniedbana.

Pan N. wziął sobie za zadanie zapoznać czytelników z najwybitniejszemi faktami z życia roślin, z ich pożytecznemi lub szkodliwemi własnościami, i pokrótce z ich budową, i wywiązał się z niego w sposób żywe budzący zajęcie i zarazem dostępny zarówno dla młodych czytelników zupełnie nieobeznanych z przedmiotem, jak i dla osób mających pewne o nim pojęcie. Dlatego zapewnie nie zestawia roślin w gruppy naturalne, w rodziny, ale nie trzymając się wskazań podawanych przez organografią lub fizyologią roślin, przesuwa przed czytelnikami szereg obrazów pięknym skreślonych stylem, w których przedstawia rośliny według najświetniejszych ich własności lub zjawisk. Już same tytuły rozdziałów budzą chęć ich przeczytania.

Rozdział I-szy czyli wstęp, obejmuje charakterystykę roślin i geograficzne ich rozmieszczenie na powierzchni ziemi. Pięknie skreślona jest działalność świata roślinnego nadającego przyrodzie zachwycający urok i ożywienie; on to stroi ją w najponętniejsze szaty i nasyca powietrze upajającemi woniami. Rośliny, zarówno jak ludzie i zwierzęta, mają pewną swoją charakterystykę, swoje nawyknienia, obyczaje i niezbadane namiętności. Jedne gatunki, już z powierzchowności ponure, lubują się i rozkrzewiają w najsamotniejszych ustroniach, inne wzrastają gromadnie. Jedne, z natury lękliwe, ukrywają się w głębi lasów i dolin, tam przychodzą na świat i tam umierają, inne, śmielsze, wiodą życie tułacze, rozkrzewiając się w rozpadlinach murów i skał, wystawione na zmiany powietrza i często gwałtowne wichry, których prądem porwane, przepływają nieraz rzeki i morza, aby nowe rozpocząć życie na drugiej świata półkuli. Dalej rośliny przedstawiają wyraźne cechy charakterystyczne pod względem fizyognomiki, z małym wyjątkiem, już z wyglądu sądzić można o ich własnościach. Nacechowane jednakiemi własnościami, zwykle jedną tworzą rodzinę, a cechy charakterystyczne odnoszą się nietylko do osobników ale i do rodzin, wykazując o ile różnorodna flora przyczynia się do przystrojenia ziemi—bo wszakże krajobraz zależy przeważnie od głównych skupień roślinnych, podobnie jak wyraz twarzy ludzkiej od kilku wyrazistych rysów. Na płaszczyznach rozkładają się łąki, w dolinach krzewy — na górskich stokach lasy —tworząc główne krajobrazów podstawy. Każdy kraj posiada właściwą sobie florę; jedne rośliny krzewią się w palących strefach zwrotnikowych, inne w klimacie umiarkowanym lub wysuniętym ku północy, tworząc tym sposobem wyraźnie odznaczone linie geograficzne. Podstawą jeografii botanicznej jest temperatura—słońce odgrywa tu główną rolę. Na powierzchni ziemi krzewi się przeszło 200,000 gatunków roślinnych, a rozkładem ich kieruje, żadnej nie podlegające sile, prawo temperatury.

Wstęp ten zakończa autor ustępem z „Obrazów przyrody podzwrotnikowej" Humboldt'a i wyjątkiem z opisu podróży pana Martins, profesora z Montpellier, któremu wiele zawdzięcza Jeografia botaniczna, nauka powstała dopiero w początkach bieżącego stulecia.

Rozdział II-gi obejmuje niektóre zjawiska życiowe ustroju roślinnego. Autor rozpoczyna go pytaniem: Czem jest roślina? i odpowiada na nie bardzo dobrem określeniem: „Roślina jest istotą organiczną, zajmującą w przyrodzie stanowisko bezpośrednio niższe od zwierzęcia, żyjącą bezwiednie, chociaż często przejawia czułość i ruchy niewyjaśnione." Wspomniawszy o Aktyniach, tych roślinach mięsożernych, o skrytopłciowych i o zwierzokrzewach, i opisawszy wybitniejsze zjawiska życia roślinnego, (w których tylko określeniu działalności korzeni, liści i nazwaniu soku roślinnego „krwią" możnaby zrobić zarzut ze stanowiska ściślej nauki) autor mówi dalej: (str. 23 i następne). „Widoczną jest rzeczą że między rośliną a zwierzęciem zachodzą uderzające analogie. Podobnie jak zwierzę, roślina posila się pokarmami, zaspakaja pragnienie, rozwija się, rozradza, umiera, i choć jest nieruchomą, jednak poszukuje pokarmów. Obok ruchu napotykamy w życiu roślin sen, czułość, oraz przyjazne lub wrogie usposobienia względem swych towarzyszek.

Sen roślinny jest faktem stwierdzonym. Wiele bardzo roślin przy schyłku dnia przybiera osobliwy układ; niektóre z nich, należące do wodnych, obniżają kwiaty do dna wód, a koniczyna łąkowa w czasie wieczorów letnich, przedstawia obszerną sypialnię, w której każda roślinka stula dwa listki boczne i zamyka nad niemi liść końcowy, osłaniający je jakby opiekuńczą kotarą. Gdy ciemność zaczyna roztaczać się na ziemi, rośliny zwijają listki, jak gdyby przewidywały że z nadejściem nocy nastąpi chłód dotkliwy. Sprawdził to Lineusz na czułkach i koniczynie ogrodowej, które utrzymywane w cieplarni, a więc zabezpieczone od zimna, nie zwijają liści!

Tak zwaną przez botaników *czułość* przedstawia znowu rodzina roślin strąkowatych. Liczne doświadczenia wykazały, że rośliny posiadają pewien stopień wrażliwości, podobną cechującej świat zwierzęcy. Jak zwierzę tak i roślinę elektryczność drażni lub zabija, narkotyki paraliżują. Czułek skropiony opium, zwija listki i zasypia—trucizny odbierają mu życie.

Pod wpływem tych działaczy, roślina cierpi i okazuje to widocznie; znosi głód i pragnienie, umiera z braku powietrza, i pomimo iż wydaje się nieruchomą, przejawia niekiedy ruchy życiowe. Lecz nietylko czułki ale prawie wszystkie gatunki flory, objawiają zadziwiającą wrażliwość w okresie rozkwitu; niby nieczułe i obojętne, jednak w tym czasie przechodzą w stan gorączkowy i wywiązują z siebie znaczną ilość cieplika.

Już za Pliniusza znaną była czułość roślin, a Empedokles i uczniowie jego nie przestając na tem przyznawali im jeszcze intelligencyą, i pomimo swej dziwaczności wiele hipotez starożytnych filozofów przeszły aż do naszych czasów. Adanson, znakomity uczony i śmiały teoretyk, nawet duszę przyznaje roślinom, a Edward Smit nietylko wrażliwość ale i *uczucie*. Teorye te znalazły w Niemczech gorliwych zwolenników i obrońców, a znani ich uczeni Martins i Teodor Fechner, stworzyli nową naukę, *psychologią roślinną*.

Na str. 30-ej p. N. mówi „iż *nie ulega wątpliwości* że drażliwość czułków zależy od organów podobnych tym jakie widzimy u zwierząt"—otóż chyba nie może to być *niewątpliwem*, skoro dane naukowe zdają się temu zaprzeczać. Według nowszej fizyologii, ruchy objawiające się u roślin czułych, spowodowane są zmianą w natężeniu tkanek wywołaną działaniem pewnych czynników podrażniających.

W końcu rozdziału II-go podane są nazwy kwiatów stanowiących zegar i kalendarz kwiatowy.

Rozdział III-ci pod tytułem „Praojce" bardzo pięknie i zajmująco przedstawia powstawanie i stopniowy rozwój życia roślinnego. Zaledwie skorupa ziemska zakrzepła, zaraz wszelkie elementa twórcze tkanki roślinnej jako to: grunt, woda, powietrze, światło i ciepło, zaczęły się przysposabiać do wytworzenia pierwszych typów flory i fauny. Rozwój flory był stopniowy; najpierw powstały rośliny *wodne*, następnie *błotne*, *ziemnowodne*, a nakoniec *lądowe*. W tymże czasie wytwarzały się góry oblewane ciepłemi jeszcze falami morza. Gęste chmury pary wodnej, już to unosiły się nad wodami, już to spadały w huraganach ulewy, z towarzyszeniem straszliwego ryku piorunów. Tę atmosferę niezdatną do oddychania dla wyższorzędnych zwierząt, nasycały wielkie massy kwasu węglanego. Wówczas to rośliny zaczęły spełniać ważne zadanie oczyszczania powietrzni z kwasu węglanego, zabójczego dla płuc zwierząt. Ale powoli, stopniowo, zmieniał się obraz świata, aż nastąpił okres znany geologom pod nazwą *formacyi trzeciorzędnej*. Strefy klimatyczne zaczynają się coraz wyraźniej uwydatniać, bieguny stopniowo oziębiać i w miejsce roślinności którą wewnętrzne ciepło ziemi jednostajnie na niej rozpostarło, występuje całkiem już odmienna flora. Wówczas to zaczęły się wytwarzać powoli typy dziś istniejących roślin. Paprocie, widłoki, skrzypy, kalamity, stymarye i sagowce — to praojce naszych dębów, olch, brzoz, wierzb i topoli i całej massy roślin dziś rozrosłych na ziemi.

Rozdział IV-ty noszący tytuł „Proletaryat" traktuje o grzybach, pleśniach, porostach, mchu i widłakach. Pan N. rozpoczyna go temi słowy:

„W wilgotnej trawie, pod uschłemi liśćmi, w pośród kamieni, w głębi jaskiń lub piwnic, we wszelkich ciemnych, zapadłych nizinach—plenią się rodziny lepkie, miękkie, najczęściej sine, często jadowite—to grzyby. Z małym wyjątkiem rozradzają się na ciałach podlegających gniciu, żyją kosztem innych jestestw. Na chorych drzewach, w płynach fermentujących, w konserwach mięsnych ulegających zepsuciu, w skwaśniałym owocu, nawet w chlebie pozostawionem w wilgotnem miejscu, występują grzyby. Jedne wgryzają się we włosy człowieka, inne rozrastają się w jego chorych płucach, inne jeszcze zapełniają przewody słuchowe; słowem nie ma w człowieku ani zwierzętach jednej tkanki chorobliwej, którejby pasożyty te nie opanowały. Niektóre gatunki krzewią się w oczach pszczół lub pod pokrywami żuków—a postać ich jest zawsze jakaś dziwaczna i podejrzana." Do rodziny grzybów zaliczają trufle, ale do dziś dnia botanicy nie zgadzają się co do ich pochodzenia.

Grzyby rodzą się i rozwijają nadzwyczaj prędko; przekonano się że w ciągu jednej nocy, od wielkości małego orzecha, dochodzą do wielkości dyni. Jedne są jadalne, drugie trujące—ostatnie rozradzają się nader licznie. Grzyby jadalne od najdawniejszych czasów wielce były cenione. Rzymianie byli wielkiemi ich lubownikami; podawano je na srebrnych półmiskach, krajano jedynie nożami bursztynowemi.

Z trujących, tak zwana *Podsadka trująca* odznacza się pięknym czerwonym kapeluszem, żółtym kołnierzem i takiemiż liśćmi. Tego gatunku grzybami Agrypina otruła Klaudiusza, i ztąd to Neron nazywał ironicznie podsadkę tę *pokarmem bogów*, gdyż jak wiadomo Klaudiusz zaliczony został po śmierci do władzców Olimpu.

Od grzybów przechodzi p. N. do mchów i porostów. Przybierają one najrozmaitsze kształty, porastają na murach, skałach lub drzewach. Z pośród porostów gałązkowatych najważniejszym jest słynny *Chrobotek* czyli *Mech renożywny*, który w rozmaitych krajach a szczególniej w jałowych okolicach Skandynawii, podczas zimy stanowi wyłączne pożywienie renów, a najosobliwszym *brodaty* obrastający od dołu do wierzchołka stare jodły górskie lasów północnych. Piękna jego powierzchowność uderzała umysł ludów starożytnych lubujących się w mistycyzmie i została uosobioną w legendach. W Niemczech tak siwobrody Rübezahl, przebywający w górach Olbrzymich, jakoteż brodaty Tapio, leśny bożek Finnów, są to tylko alegoryczne postacie prastarych, porostem tym obrosłych jodeł.

Skromne te rośliny są bardzo użyteczne; jedne dostarczają przemysłowi barwników, drugie jak *Mech islandzki* posiadają własności lecznicze, inne jeszcze dostarczają pożywnej mączki, a prócz tego służą za kolebkę wielu roślinom a raczej ich nasionom i zarodkom, które nie zdołałyby się utrzymać, pozbawione ich opiekuńczego cienia. Prócz tego jeszcze tworzą one grunt dostarczający torfowiskom pożądanego materyału; w miarę jak zamierają z dolnych ich części corocznie osadzają się warstwy, z których następnie powstają bardzo grube ławice torfu.

Rozdział V nosi tytuł „Patrycyusze" opisuje w nim p. N. palmy, drzewa iglaste z właściwem sobie pięknem obrazowaniem. Wiele tu bardzo zajmujących szczegółów; przytoczymy tylko opis *Kopernikii Malabarskiej*. „Jest to drzewo majestatyczne, uwieńczone zielonym parasolem, wysokość jego dochodzi do przeszło 100 stóp, a parasol mający przeszło 50 stóp szerokości tworzą liście olbrzymich rozmiarów. Dwadzieścia osób może schronić się pod jego cieniem przed deszczem lub skwarem słonecznym. Kopernikija raz tylko w życiu wydaje owoc. Zazwyczaj w 40 roku jej istnienia z korony jej wyrasta kolba, z której wyłania się z jakie dwadzieścia tysięcy kwiatów, tworzących snop kolosalny. Po okwitnieniu Kopernikija rodzi owoce dojrzewające w ciągu czternastu miesięcy, poczem więdnieje, schnie i umiera."

Czyż nie można pozazdrościć tej palmie; spełnić swe zadanie i umrzéć!...

Rozdział VI „Olbrzymy i starce" są to opisy odwiecznych drzew, z których niektóre tysiące lat przeżyły, i z dumą, jakby na karłów, patrzą z góry na otaczającą je roślinność. Mamy tu ciekawe szczegóły o Welingtonii, Drzewie smoczem, Adansonii zwanej *Chlebem małpim* albo *Boobabem* i olbrzymach europejskich.

Przechodzimy do rozdziału VII-go traktującego o „Dziwotworach." Tu słusznie bardzo na pierwszem miejscu stawia p. N. *Mandragorę* której korzenie podobne są do postaci ludzkiej. Szczególniejsza tą roślina, dziś prawie już nie istniejąca, u starożytnych ludów była przedmiotem głębokiej czci, a w wiekach średnich zabobonny budziła przestrach. Korzenie tej jadowitej rośliny wielką odgrywały wówczas rolę w astrologii, magii i medycynie. Przyrządzano z nich różne cudowne leki; posiadanie ich miało nadawać moc rzucania uroków; ale niełatwo przychodziło wydobyć je z ziemi bo wtedy *człowieczek roślinny* (jak od najdawniejszych czasów lud nazywał tę roślinę) wydawał przerażające jęki, odstraszające gwałcących jego spokój. Aby korzenie mandragory nie traciły cudownych swych własności, trzeba było wyrywać z ziemi rosnące pod szubienicą, zachowując jak największą ostrożność. Mniej odważni, przyuczali psy do wydobywania tych korzeni, poczem obwijali je w całun. Prócz innych cudowności, mandragora miała tę jeszcze własność że podwajała ilość zamkniętego z nią złota.

W rzeczywistości, ta nader już dziś rzadka roślina, należy do Psianek, a nauka nadała jej nazwę *Atropa Mandragora*. Jest bardzo jadowita, rośnie w głębi lasów i na wybrzeżach rzek, ale tam tylko gdzie nigdy nie dochodzą promienie słońca. Jej gruby, długi, zewnątrz białawy korzeń, rozdwojony jest u dołu, co, zarówno jak cała powierzchowność, nadaje mu niejakie podobieństwo do postaci ludzkiej. Liście są owalne, faliste, rozkładające się nad ziemią w kształcie parasola; kwiat biały zabarwiony nieco kolorem blado purpurowym, a owoc ma kształt małego jabłka; — cała roślina wydaje woń nader nieprzyjemną. W średnich wiekach, korzystając ze kształtu korzenia mandragory, nadawano mu sztucznie różne postacie ludzkie.

(d. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ W 258 N-rze „Biesiady Literackiej" Józef Ignacy Kraszewski rozpoczyna „List z Zakątka" następującą odezwą:

„Słówko w sprawie niemal osobistej. Za pośrednictwem Biesiady literackiej musimy się odezwać, (prosząc inne pisma o powtórzenie) do tych którzy nam pomoc swą dla „Macierzy" przyrzekli. Jesteśmy już w miesiącu grudniu roku pańskiego 1880; spodziewamy się że przyszli fundatorowie tej instytucyi zechcą pośpieszyć ze spełnieniem swych przyrzeczeń, od którego istnienie jej zawisło. Nie przynaglamy ani namawiamy nikogo, ale zmuszeni jesteśmy—aby nam winy nie przypisano—stanowczego żądać rozwiązania. Jeżeli, z jakichkolwiek bądź względów, utrudnionem jest spełnienie przyrzeczeń, przynajmniej o wiadomość i oznaczenie terminu mocno upraszamy."

Odnośnie do tej sprawy „Kuryer Warszawski" zamieścił w szpaltach swoich list następujący:

„Z powodu powtarzających się w dziennikach naszych i czeskich wiadomości iż pan Ludwik Grabowski ofiarował 20,000 rs. na „Macierz," zmuszeni jesteśmy prosić redakcye pism naszych o sprostowanie. Pan Ludwik Grabowski żadnej ofiary na cel wymieniony nie zrobił, i zdaje się uczynić jej nie myśli· „Suum quique;" nie należy więc czynić niewinnemu tej przykrości i obwiniać go o niepopełnioną rozrzutność!

Drezno dnia 7 grudnia 1880 r.

J. I. Kraszewski.

„Biesiada Literacka" dodaje od siebie.

„Ponieważ od nas pierwszych wyszła wiadomość o znakomitej ofierze 20,000 rs. którą p. Ludwik Grabowski przyrzekł złożyć do rąk J. I. Kraszewskiego na potrzeby „Macierzy"—czujemy się przeto w obowiązku równie publicznie oświadczyć a temsamem uwolnić się od piśmiennych odpowiedzi na bezustanne pytania, że ofiara, za którą dzienniki polskie i obce obdarzają pana L. G. tytułem „wielkiego filantropa," dotychczas jest tylko przyrzeczeniem—niczem więcej."

Mój Boże, gdzie się podziały te dobre czasy, kiedy szlachcic polski uważałby sobie za niezmazaną hańbę nie dotrzymać „verbum nobile" danego choćby samemu dyabłu, jak Twardowski.

+ Pisma nasze podają pocieszającą wiadomość, że zapis Konarskiego będący od lat tylu przedmiotem korespondencyi władz, niedługo będzie mógł zostać wykonanym. Ostatecznie postanowiono że z funduszu ś. p. Konarskiego, założoną zostanie szkoła z programem miejskich szkół czteroklasowych z dodaniem nauki rzemiosł. „Gazeta Warszawska" słusznie zwraca uwagę iż szkołę tę należałoby otworzyć na Pradze, gdzie dawniej istniało progimnazyum a obecnie nie ma żadnego zakładu naukowego średniego, pomimo przeszło 30,000-ej, ciągle powiększającej się ludności. Z tego powodu mieszkańcy Pragi zniewoleni są posyłać dzieci do Warszawy, a wędrówka ta naraża ich na niewygody i stratę czasu, a w zimie na choroby z przeziębienia, skutkiem dwukrotnego codziennie przechodzenia przez most.

+ W N-rze 281 „Gazety Warszawskiej" czytamy co następuje:

„W twórczości poetyckiej Doetymy niejednego zastanawiał niezamącony „spokój," który jak umiano tłomaczono, ale nikt podobno nie zgadywał w zupełności prawdziwej jego natury. Ciekawą więc będzie rzeczą dowiedzieć się o tem—że się wyrazimy gazeciarskim językiem—„z jak najlepszego źródła" bo od samej Doetymy. Pozwolono nam łaskawie ogłosić wierszowaną korespondencyą dwóch poetek, prowadzoną we wrześniu r. b. a zawierającą w pięknej formie artystycznej zapytanie i odpowiedź w powyższym przedmiocie.

DO DOETYMY.

Ty, Pogodna, powiedz mi,
Bo ty znasz żałobne dni,
Te najżałobniejsze z nich,
Gdyś żegnała wszystkich swych:
Czyli wśród serdecznych mąk
Nie łamałaś nigdy rąk,
Nie roniłaś nigdy łzy?
Ty, Pogodna, powiedz mi!
Bo słoneczny uśmiech masz
I promienną taką twarz,
I tak czysty jasny wzrok,
Jakby nigdy żaden mrok,
Ni tęsknoty, ni żałości,
Nie ściemił jego przejrzystości...
Ty, Pogodna, powiedz mi,
Jak w żałoby straszne dni,
Wśród krzyżowych życia prób,
Gdy przed nami tylko grób,
Albo zdrad i fałszu sieć,
Jak tę jasność ducha mieć,
Co pogody aureole
Zapaliła Ci na czole?
Ty, Pogodna, powiedz mi!

Jaskółka.

ODPOWIEDŹ.

Nie sądź aby lazur fali
Nie krył skały, co rozrania,
Aby głos co się nie żali
Nie krył tłumionego łkania.
Spojrzyj w głębie tych odmętów,
A zobaczysz ciężkie losy:
Potrzaskanych cień okrętów,
Zatopionych skarbów stosy.
Ach! to szczątki są rozbicia,
Ślady burz z ich grozą całą,
Po których w żegludze życia
Prawie nic już nie zostało.
Lecz toń brzegów swych nie bodzie,
Bo chce widzieć światło Boże,
A tylko w spokojnej wodzie
Niebo się odbijać może.

Doetyma.

Sądzimy że tak Redakcya „Gazety Warszawskiej" jak i szanowne autorki zechcą nam przebaczyć żeśmy się nie mogli oprzeć pokusie tej „kradzieży literackiej" powtarzając bez upoważnienia te prawdziwe brylanciki poezyi.

+ Donoszą z Górnego Szlązka, że gmina szkolna Skrzyszowa w powiecie Rybnickim, w myśl uchwały powziętej na zebraniu katolików szlązkich we Wrocławiu, przesłała d. 22 z. m. do królewskiej rejencyi w Opolu, petycyą opatrzoną 155 podpisami ojców rodzin i 3 wójtów, z żądaniem: 1-o aby rejencya zawiadomiła nauczycieli że mają udzielać nauki, nawet najwyższe w języku polskim, jak to jest dozwolonem na mocy rozporządzenia z dnia 20 września 1872 roku; 2-o aby udzielanie nauki religii oddała zupełnie w ręce proboszcza, i 3-a aby księdzu proboszczowi powierzyła znowu urząd miejscowego inspektora szkolnego. Nie odebrano jeszcze odpowiedzi rejencyi; prawdopodobnie i inne gminy pójdą za przykładem Skrzyszewskiej.

+ Niedawno odbyło się w Tylży pierwsze doroczne zebranie litewskiego towarzystwa literackiego. Trzydziestu członków przybyło z różnych okolic Litwy. Liczba członków która przy założeniu towarzystwa wynosiła zaledwie 25 osób, obecnie wzrosła do 170, ze wszystkich prawie krajów Europy. Prezydujący, proboszcz Jacoby z Kłajpedy, odczytał roczne sprawozdanie, poczem pan Barcz z Tylży, wypowiedział zajmujący odczyt o litewskiej pieśni ludowej „Daina".

+ W poznańskiem zaczynają bardzo dotykalnym sposobem uczyć Niemców i zniemczałych zaprzańców grzeczności i poszanowania dla mowy polskiej. Niedawno temu jakiś niemiec odezwał się w omnibusie do Polaków rozmawiających po polsku, iż niewolno rozmawiać tym językiem w miejscach publicznych, na co w tej chwili odebrał tak „przemawiającą do czucia" odpowiedź, iż pewnie samo jej wspomnienie odejmie mu nadal ochotę do występowania w charakterze prawodawcy. Podobna scena powtórzyła się przed parą tygodniami w wagonie kolei gnieźnieńsko-poznańskiej; tylko że tym razem bohaterem jej nie był Niemiec, ale oficer i urzędnik pruski, polskie noszący nazwisko. Odezwał się do dwóch Polaków rozmawiających z sobą po polsku: „Lassen sie doch endlich das polnische Gelapper". Ci do których uwaga ta była zwrócona, uważali sobie za obowiązek niezwłocznie zapłacić za nią; hojnie wynagrodzony zaprzaniec, chciał nazajutrz zaraz „pociągnąć towarzyszów podróży do odpowiedzialności sądowej" i byłby zapewnie uważał za dostateczne zadośćuczynienie, przyznanie sobie kilku talarów wynagrodzenia za otrzymane policzki, ale żadnego znaleźć nie mógł. Pozostało mu więc na twarzy hańbiące piętno: nie zazdrościmy kolegom jego pułkowym, mającym nadal odbywać z nim służbę.

+ Jeźli to nie jest „kaczka dziennikarska" to kolonia angielska w Paryżu, w nader oryginalny sposób obchodziła minione Boże Narodzenie. W cyrku na polach Elizejskich urządzono olbrzymie drzewko, obwieszone przeróżnemi podarkami dla osób dorosłych pochodzenia angielskiego. Wejście na tę uroczystość kosztowało 30 fr. od osoby. Na zakończenie odbyła się tombola, której główną wygranę stanowiła młoda miss, na tegorocznych rautach bardzo zwracająca na siebie uwagę. Jeźli wygrał ją kawaler, to musiał się ożenić z nią, jeźli żonaty, ciągnienie się powtarzało, dopokąd wygrana nie przypadła nieżonatemu. Połowa dochodu z opłat za wejście stanowiła posag panny. Każdy bilet służył tylko temu komu został wydany, nie wolno go było sprzedać ani darować, zapewnie przez wzgląd na piękną miss, aby jej się nie dostał zbyt niestosowny narzeczony. Rozprzedano bardzo wiele biletów.

+ Pan Cezar Correnti, wielki kanclerz orderów królestwa Włoskiego i pierwszy sekretarz króla Humberta, znany nietylko jako mąż stanu i minister oświecenia, ale zarazem jako jeden z najznakomitszych pisarzy półwyspu, ma wydać wkrótce ważne dzieło o kraju naszym, odnoszące się do dziejów literatury, instytucyi i zwyczajów dawnej Polski, ze szczególnem uwzględnieniem jej niezliczonych stosunków z Włochami. Ma to być nie tyle historya, jak raczej historyografia polska i wszechstronny opis naszej przeszłości. Ważne to dzieło zostało dość długo odłożone z powodu politycznych zajęć autora i stałego jego udziału w kierowaniu sprawami państwa. Dopiero od lat dwóch kanclerz mógł znowu powrócić do przerwanej pracy, przy pomocy Kraszewskiego i wielu naszych uczonych, pomagających mu w tej pracy. Obecnie obszerne to dzieło jest prawie na ukończeniu, a dostojny autor powziął myśl wydania go w przepysznem wydaniu. Zdaje się iż rysownicy nasi i malarze nie odmówią swego współudziału w pracy około dzieła tak wysoko obchodzącego naszą przeszłość.

+ Na odnodze Sekwanny pod Paryżem odbywano niedawno próby manewrów z łodzią składaną przeznaczoną dla karawany missyonarzy algierskich, mających się udać w okolice wielkich jezior Nyanza i Taaganyka, w Afryce podrównikowej. Łódź ta, zbudowana w zakładach p. Trier'a, według wynalazku admirała angielskiego Douglas Mac Donald'a, który sam kierował manewrami, jest łatwo przenośną, da się bowiem złożyć jakby pugilares, i jeden człowiek może ją nieść lub na małym przewozić wózku, chociaż rozłożona pomieści bezpiecznie piętnastu ludzi. Łódź ta może także służyć za podstawę obszernego namiotu, którego podpory stanowią wiosła służące do nadania łodzi ruchu na wodzie. Próby wypadły bardzo pomyślnie, i wynalazek ten odda wielkie usługi w okolicach gdzie ląd przecinany jest mnóstwem mniejszych lub większych jezior i strumieni, w stepach bezludnych gdzie niepodobna znaleźć potrzebnych do przewozu statków.

+ Kuryer Warszawski zgorszył się niezmiernie niegrzecznością słuchaczy, którzy w teatrze Małym chcieli w kapeluszach na głowach słuchać przedstawienia. Nie należymy do zatwardziałych radykalistów, ale w konserwatyzmie co do kapeluszy Kuryer cokolwiek się zagalopował. Cóż bowiem z niemi robić w miejscach publicznych, jeżeli go nie chcemy lub nie możemy trzymać w rękach? By[illegible] le gdzie go postawić, to szkoda pewna lub zupełne zniszczenie: spuścić z oczów to go z pewnością, m[illegible]wiąc grzecznie, przemienią, a wyrażając się szczerzej, „ukradną!"

Zadziwicie się temu wyrażeniu? Niestety! je[illegible] to prawda najprawdziwsza, możemy ją wygłosić [illegible]wnie i otwarcie, a nikt nas o potwarz nie posądzi. Z różnemi naleciałościami obcej nam zupełnie na[illegible]tury, kradzież rozwielmożniła się. Kradną wszystko co da się w każdem większem zebraniu c[illegible] publicznem czy prywatnem. Masz kapelusz nowy, kalosze świeżo kupione, parasol, trzymajże to wszystko przy sobie, nie zostawiaj w przedpokoju l[illegible] gdzie w kącie w cukierni, bo z pewnością albo u[illegible]tnią się bez śladu, albo w zamian dostaniesz jakie stare gałgaństwo niby przez nieuwagę za rzecz dobre pozostawione. W kościele, szczególnie przy ścisku, trzymaj rękę przy kieszeni, bo c[illegible] z pewnością okradną. Piszącego kilka razy ogr[illegible]biono, parę razy uchwycił za rękę myszkujące[illegible] złodzieja, a i wypuścił bo nie miał świadka ani d[illegible]wodu że złodziej złodziejstwa chciał się dopuścić. Znamy jedną z pań którą systematycznie pr[illegible] cztery niedziele z rzędu okradano a piątej wycięto całą kieszeń.

Ale to nie wszystko jeszcze! Spytajcie cukierników, restauratorów większych, ilu u nich przy[illegible]szów zjada przysmaczki i delikatesy i wynosi [illegible] cichaczem bez zapłaty za to!

Koniec końcem ze złodziejem spotkać się łatwo i wszędzie, cóż więc robić z kapeluszem w miejscach publicznych? Czyż nie najwłaściwiej trzymać go na głowie?

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 17 Декабря 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

All our life is mixed with death;
And who knoweth which is best?
E. Browning.

Część pierwsza.

I.

Było to w jednym z najpiękniejszych dni majowych wyścigi tylko co się skończyły, pola Elizejskie zapchane były bogatemi, paradnemi powozami. Przed bramą ambasady N** wychodzącą na jedną z alei, zatrzymał się elegancki faeton, z trudnością wydobywszy się ze ściśniętych szeregów ekwipaży. Wysiadłszy z niego, młody właściciel wbiegł prędko na schody, i o mało nie potrącił kogoś schodzącego.

— A! to pan, panie de Fleynac, zawołał niemłody już mężczyzna: od jak dawna jesteś w Paryżu? wieki cię już tu nie widziano.

Jerzy de Fleynac poznał jednego z dawnych przyjaciół swej rodziny, odpowiedział więc uprzejmie:

— Podróżowałem dwa lata po Egipcie i po Włoszech.

— Ale teraz powrócisz już zapewnie w nasze południowe strony? jakże ojciec pana się ucieszy!

— Spodziewam się lada dzień przyjazdu jego do Paryża.

— W salonach ambasady spotkasz się pan z towarzyszką twoich lat dziecinnych, z panią d'Ericey.

— Nie wiedziałem że jest w Paryżu.

— Jakże się ucieszy zobaczywszy pana; przed chwilą właśnie mówiliśmy o panu i naszych rodzinnych stronach. Do widzenia!

— Do widzenia! powtórzył Jerzy, i prędko przebiegł ostatnie schody.

Wszedłszy do ambasady, rozglądał się po salonach jakby upatrując kogoś kogo zastać się spodziewał; poczem przeszedł do głównej sali, przez której otwarte okna wychodzące na wielki balkon, można było widzieć pola Elizejskie oświetlone błyszczącemi promieniami słońca, pełne wesołości i ruchu.

Rzuciwszy okiem po sali, pan de Fleynac przekonał się że i tu nie ma osoby której szukał; zawiedziony w oczekiwaniu, powitawszy panią domu, usunął się na bok i usiadł na krześle kryjącem się nieco po za połową otwartego okna. Jakże miłym mu się wydał ten cień i chłód, po rażącym blasku słonecznym po kurzu i wrzawie nieuniknionej podczas wyścigów; po chwili w rozkosznej zatonął w zadumie. Przedmiotem tych różowych marzeń była piękna, ubóstwiana przez niego narzeczona; zobaczy ją, przybędzie lada chwila aby go znów obdarzyć kilku chwilami tak bezgranicznego szczęścia, jakiem się napawał podczas ich pobytu we Włoszech a o które tak trudno teraz w Paryżu, wśród wrzawy i wiru zabaw.

Tak zamarzony, Jerzy powiódł oczami po sali i wzrok jego zatrzymał się na osobie siedzącej tak blizko niego, iż stykaliby się z sobą gdyby nie rozdzielające ich okno. Była to młoda kobieta, siedziała na nizkim foteliku, oczy miała spuszczone, ręce spoczywały niedbale na kolanach, jej delikatna twarzyczka, wdzięczne linje wysmukłej i powabnej postaci, zwróciły uwagę podróżnika, przypominając mu statuetki i twarze kobiet egipskich, których tak harmonijną całość podziwiał w kraju faraonów. Zadziwiony zkąd ten typ tak doskonały zjawił się w salonie paryzkim, zaczął uważnie przyglądać się młodej kobiecie. Wpatrywał się w małe jej rączki w jej jakby utoczone ramiona, szczupłą i wciętą a zarazem pełną figurkę, w całą jej postać pełną niewysłowionego powabu. Jakże piękne były jej wielkie oczy otoczone długiemi czarnemi rzęsami, tchnące tak pociągającym wyrazem rzewnej tęsknoty! tylko włosy i cera nie odpowiadały modelowi, Z pod małego koronkowego, kwiatami przybranego kapelusika, wysuwały się zwoje złocistych splotów, a bladawa twarzyczka odznaczała się cerą białą, matową, a zarazem pełną życia.

Wpatrując się tak w swoją sąsiadkę, Jerzy przypomniał sobie że widział gdzieś kiedyś ową zabłąkaną w Paryżu córkę Ozyrysa, aż nagle przyszło mu na myśl co powiedział ów spotkany na schodach przyjaciel jego ojca. Byłażby to rzeczywiście owa towarzyszka jego lat młodocianych? owa córka ukochanego sąsiada ojca jego? czyż owe chude, brzydkie szesnastoletnie dziewczę, mogłoby się w przeciągu tych paru lat tak cudownie przemienić?

— Ale bo, doprawdy, śliczna jest! mówił sobie; nie jest to piękność klasyczna, ale im dłużej się w nią wpatrywać, tym większym pociąga urokiem.

W tejże chwili młoda kobieta podniosła oczy, wpatrując się w niebo po którem tu i owdzie przesuwały się różowe obłoczki.

— Tak, to ona! pomyślał, to jej piękne szafirowe prawie czarne oczy, tak pełne tkliwości i słodyczy które ojciec mój zawsze tak uwielbiał, i dzięki którym uważał za nader powabną nie ładną dziewczynę, którą z tego powodu nazywano małpeczką. Muszę się z nią przywitać.

Wstał i zbliżając się do młodej kobiety, rzekł kłaniając się:

— Nie wiem czy poznasz pani dawnego przyjaciela?...

Prędko odwróciła głowę; w jej zadziwionem z początku spojrzeniu, nagle tak żywe odbiło się wzruszenie, tyle w niem było boleści i smutku, że Jerzy uczuł się wzruszonym do głębi serca. Nie zważając na obecnych, z naiwną prostotą obie ręce wyciągnęła ku niemu.

— Ach! powróciłeś nareszcie, rzekła zmienionym głosem, powróciłeś dawny ukochany przyjacielu.

Głos jej drżał, w oczach łzy zabłysły, zamilkła.

Wzruszony tak serdecznem powitaniem, Jerzy uścisnął dłonie młodej kobiety i usiadł przy niej.

— Nie zapominasz więc pani ukochanego naszego Południa, wśród uciech i zabaw wielkiego świata paryzkiego?

— Kocham go teraz więcej jak kiedykolwiek, bo tam pozostało wszystko co mi najdroższe.

— O tak! odrzekł z uczuciem Jerzy, masz słuszność Stefanio, tam przebywają nasi drodzy nieobecni, tam spoczęli nasi ukochani zmarli.

Z pod długich spuszczonych rzęs młodej kobiety, wypłynęła łza gorąca, i zwolna spadła na małą jej rączkę.

— A! otóż i hrabia Jerzy! zawołano z lekkim cudzoziemskim akcentem; usłyszawszy ten głos Jerzy drgnął i zerwał się prędko. Tuż koło nich przesunęła się gruppa złożona z trzech osób: z wysokiej dość otyłej kobiety, z pięknej młodej panny i dość jeszcze młodego mężczyzny. Wypowiedziany okrzyk wyszedł z ust pięknej panny, której wzrok zdradzał wysokie niezadowolnienie. Jej wyniosłe i gniewne spojrzenie spotkało się ze łzą zroszonem spojrzeniem pani d'Ericey, poczem przeszła nie odwracając się.

— Kto są te panie? zapytała Stefania.

— Pani von Laybach i jej córka, odpowiedział, dodając nieco zmieszany: — Muszę odejść... kiedyż mogę panią zastać?... nie wiedziałem że jesteś w Paryżu.

— Jestem zawsze w domu około czwartej; wiesz pan zapewnie że mieszkam w Cours-la-Reine.

— Więc do widzenia niedługo.

I ścisnąwszy na pożegnanie rękę pani d'Éricey, Jerzy de Fleynac pobiegł za piękną panną, której gniew uczuł instynktownie. Znalazł ją w sali jadalnej, w której dla gości urządzony był bufet a w nim chłodniki i przekąski. Trzech czy czterech młodych mężczyzn otaczało pannę Laybach; śmiała się i rozmawiała z nimi nader swobodnie, czem tak odróżniała się od młodych panien paryzkich, iż po tem samem można było poznać cudzoziemkę. Gdy Jerzy nadchodził panna Laybach oddawała już próżny talerz jednemu z asystujących jej panów, biorąc jednocześnie z rąk drugiego kieliszek szampańskiego wina. Lecz oczy jej zwrócone były na trzeciego towarzysza i palące rzucały nań spojrzenia, co nie mogło podobać się panu de Fleynac; spostrzegłszy to panna w tej chwili przysunęła się do niego i rzekła pieszczotliwie patrząc na niego czule:

— A! niedobry! tak to czekałeś na mnie? Przybywam stroskana że zaniepokojony jesteś moją nieobecnością, a ty sam mocno wzruszony, pocieszasz jakąś ładną zapłakaną panią.

— Wzruszenie moje było bardzo naturalne, odrzekł Jerzy uspokojony tą oznaką zazdrości, (która pochodzącą od kochającej kobiety zawsze pochlebia mężczyźnie) spotkałem tu niespodziewanie panią d'Éricey, ową towarzyszkę moich lat dziecinnych; o której tylokrotnie ci wspominałem. Przypomnieliśmy sobie ciężkie, bolesne straty ukochanych osób...

— Strasznie niestosowna rozmowa po tak wesołych wyścigach! rzekła lekko wzruszając ramionami i wychyliła trzymany w ręku kieliszek szampana. Wtedy zbliżył się ów młody pan któremu oczy jej tyle mówiły, aby odebrać od niej kieliszek.

— Dziękuję, odrzekła z uśmiechem, i zaraz dodała:—Jerzy, przedstawiam ci księcia de Sauve.— Książę, pan de Fleynac.

Książę z pośpiechem wyciągnął rękę; Jerzy nie mógł cofnąć swojej, ale podał ją bardzo niechętnie i oziemble.

— Nazwisko pana często obijało się o moje uszy rzekł książe bardzo uprzejmie; okolice z których pochodzimy graniczą z sobą, a rodzina de Fleynac tak jest szanowana i uwielbiana w całym departamencie, iż nie moglibyśmy nie znać jej ze słyszenia.

Jerzy ukłonił się zimno. Nie mógłby bez kłamstwa podobnym odpowiedzieć komplementem, gdyż rodzina des Sauves z zupełnie przeciwnej znaną była strony.

Książe przemówił jeszcze kilka słów do panny von Laybach, ukłonił się i odszedł. Zwróciła się do narzeczonego i rzekła unosząc się:

— Cóż to znów za fantazya? przedstawiam ci księcia de Sauves i przyjmujesz go tak niegrzecznie?

— Skądże ta nowa znajomość, Heleno?

— Znałyśmy księcia we Florencyi, a przed chwilą dał nam dowód wielkiej uprzejmości, wyswobadzając nas ze ścisku natłoczonych powozów. Cóż możesz mieć przeciw niemu?

— Książe de Sauves jest jednym z tych ludzi jakich nie życzyłbym sobie widywać w twojem towarzystwie, Heleno; zaledwie przybyłaś do Paryża, nie dziwi mnie więc że nie wiesz jak złej używa opinii. Tak powszechnie znany jest ze złej strony, iż nie potrzebowałbym uprzedzać cię gdybyś bawiła tu nieco dłużej.

— Strasznie, strasznie jesteś wymagający! odrzekła z nadąsaną minką.

— Nikt jakoś nie obwinia mnie o to, odpowiedział z uśmiechem. Ale nie odwracaj odemnie twoich ślicznych oczu; o mało nie zostałem rozjechany, wyprzedzając wszystkich aby tu prędzej przybyć.

— Tak! dla zobaczenia się z tą bladą panią.

— Będę się starał poznać cię z nią jak najprędzej.

Helena przybrała wyraźnie niezadowolnioną minę.

— Tak wiele mówiłem ci o naszych stosunkach rodzinnych i dawnej przyjaźni, iż sądzę że pragniesz ją poznać. Wiesz że ojciec mój kocha ją jak własną córkę, ja zawsze uważałem ją za siostrę. Stanowisko jakie zajmuje w świecie, ogólny szacunek jakim jest otoczona...

— Ach! znajduję Helenę pod opieką pana, jestem więc już spokojną. O kimże to mówiliście? rzekła nadchodząc p. Laybach.

— O pani d'Éricey, którą opuściłem przed chwilą. Dziwi mnie że Helena zdaje się nie życzy sobie jej poznać?

— Co za szaleństwo! pani ta tak wysokie zajmuje stanowisko i wszyscy tak jednogłośne oddają jej pochwały;—przed chwilą właśnie mówiono mi o niej z największem uwielbieniem. Proszę cię, kochany panie de Fleynac, przedstaw jej nas jak najprędzej.

Pani d'Éricey nadchodziła właśnie, wsparta na ramieniu jakiegoś posiwiałego jenerała i pożegnalnie skinęła głową; Jerzy zbliżył się do niej śpiesznie.

— Pozwól mi pani przedstawić sobie panią i pannę von Laybach, są to moje przyjaciołki i polecam je szczególnym twoim względom.

— Przyjaciele twoi mogą zawsze liczyć na największą moją życzliwość, odrzekła. Proszę cię, jenerale, chciej chwilkę zaczekać na mnie.

I wysunąwszy rękę postąpiła parę kroków ku prowadzonym przez Jerzego paniom.

— Cieszę się że mam sposobność poznać przyjaciółki pana de Fleynac, rzekła uprzejmie do pani von Laybach. Żałuję że dziś nie mogę pozostać dłużej, ale Jerzy da mi adres pań abym mogła...

— Oh! pozwoli pani że ją uprzedzimy... Helena będzie uszczęśliwioną z jej poznania.

— Nad wszelki wyraz! dorzuciła panna Laybach.

Zadziwiona dziwnym tonem z jakim młoda dziewczyna wypowiedziała te słowa, pani d'Éricey zwróciła na nią badawcze spojrzenie, i uderzyła ją jej wielka, olśniewająca piękność. Prześliczne rysy, godne dłuta snycerza, piękne błękitne oczy, płeć prześliczna, wykończony owal twarzy, której jedyną wadą był może nieco wystający podbródek, wysoki wzrost i zgrabna jakby utoczona kibić, słowem doskonała piękność w całym blasku młodzieńczego rozwoju—nie mogła nie budzić podziwu.

— Jakaż ona piękna! pomyślała sobie Stefania. Nie doznała jednak owego wrażenia jakie zazwyczaj s prawia na nas prawdziwa piękność;—czyżby powodem tego był sarkastyczny, prawie przykry wyraz jej ust i błyszczących źrenic? Jeszcze pani d'Éricej nie zdołała zdać sobie z tego sprawy, gdy nagle bolesne wzruszenie o wszystkiem zapomnieć jej kazało. Pan de Fleynac zbliżył się właśnie do Heleny, a gorące uwielbienie malujące się wjego twarzy, nie dozwalało wątpić jakie miotało nim uczucie.

Młoda kobieta drgnęła nieznacznie, blada jej twarz pobladła jeszcze; mimo to jednak zbliżyła się do panny von Laybach i podała jej rękę z tak ujmującym wyrazem dobroci i prostoty, iż ta nie mogła pozostać obojętną. Tak przynajmniej kazało wnosić jej obejście, daleko uprzejmiejsze jak przed chwilą.

— Do widzenia! rzekła żegnając się pani d'Éricey, i oddaliła się wsparta na ramieniu oczekującego jenerała.

II.

Maj miał się ku końcowi; piękne, ciepłe dni nastały. Paryż jaśniał kwiatami i strojnemi wiosennemi toaletami. Pola Elizejskie wrzały gwarem, ruchem i życiem, ale Cours-la-Reine poprzerzynane licznemi alejami i odgraniczającą je Sekwaną, oddychało miłym spokojem i ciszą, jako mniej wystawione na ruch przechodniów. Lekki wietrzyk dolatujący od rzeki, poruszał lekko kwitnącemi krzewami pięknego ogrodu, po nad tarasem którego wznosiła się piękna balustrada, nie dopuszczająca ciekawych spojrzeń.

Wietrzyk ten dolatywał aż do pani d'Éricey, czytającej książkę przy oknie balkonowem otwartem na ogród. Stora w białe i błękitne paski rzucała cień na stopnie peronu, roztaczając miły pół-cień po salonie w którym siedziała młoda kobieta, Był to salon letni, zapełniony dywanami i fotelami najrozmaitszych kształtów. Kilka zabłąkanych tu promieni słonecznych rzucałyzłotawe blaski na kosztowne, tu i owdzie porozrzucane na stolikach kosztowne cacka i ozdoby, i uwydatniały piękność drogocennych porcelanowych wazonów, w których rzadkie kwiaty wznosiły dumnie piękne swe kielichy.

Stefania opuściła na kolana czytaną książkę i bezwiednie utkwiła wzrok w wielki krzew kwitnącego bzu. Wtem drzwi się otwarły i wszedł do salonu młody mężczyzna w porannym stroju, z cygarem w ustach, i niedbale, ze znudzoną miną, rzucił się na fotel stojący naprzeciw młodej kobietyy.

— Dzień dobry, Feliksie, rzekła z odcieniem zadziwienia; więc już wróciłeś?

— Tak, zakład w klubie... Duszne, szatańskie gorąco!... u ciebie jednak znośnie.

— Ogród i rzeka wpływają na ochłodzenie powietrza; jednak wolałabym być już na wsi. Kiedyż będę mogła zamieszkać w Celles?

Pan d'Érisey, on to był bowiem, wzruszył lekko ramionami i nic nie odpowiedział, oczy kobiety zabłysły, rzekła jednak łagodnie:

— Sześcio miesięczny pobyt w Paryżu i te gorąca bardzo mnie zmęczyły; pragnęłabym odpocząć i świeżem odetchnąć powietrzem.

Pan d'Éricey, widocznie niezadowolniony, wstał i zaczął przyglądać się malowaniu na porcelanowym wazonie, po chwili jednak odpowiedział:

— Niepodobna!... dom pełen robotników... bezład i chaos niewypowiedziany... odor z malowideł bardzo niezdrowy... niepodobna!

— A! kazałeś odnawiać pałac — nic o tem nie wiedziałam.

— Tak, tak... odnawiać, odświeżać... bąknął, poczem nagle zmieniając rozmowę dodał: Proszę cię, czy nie masz jeszcze owych wschodnich materyj które ci dałem przed paru miesiącami?

— Przed paru laty, poprawiła smutnie Stefania.

Nie odpowiadając na to, rzekł:

— Chciałbym je widzieć, proszę każ je przynieść.

(d. c. n.)

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

XII.

Dalszy ciąg pamiętnika Dory.

Nazajutrz długo czekałam w moim pokoju, w świeżem rannem ubraniu, zanim posłyszałam w pałacu jakiś ruch, dowodzący że mieszkańcy jego zaczynają się przebudzać. Wszyscy w Trampton sypiali długo; wiek upoważniał sir Lionela i lady Halsted, a lord Oton i lady Julja zbyt hołdowali zwyczajom modnego świata, aby mogli zejść na śniadanie przed dziesiątą. Słyszałam że i kuzynka Maryanna kręciła się po swym pokoju, przyległym do mego, jak wiewiórka w klatce, i domyśliłam się że i ona przebudziła się o zwykłej porze. W Rockborough, z konieczności wstawałyśmy bardzo rano i zawsze o jednej godzinie, dla tego też mogło nam się wydawać że jesteśmy w zaczarowanym pałacu jakiejś zaklętej księżniczki. Głęboka cisza panująca wszędzie dowodziła że nawet służący jeszcze spoczywają. Otworzyłam okno wychodzące na park i przerzynającą go szeroką drogę, i z prawdziwem zachwyceniem patrzyłam na widok roztaczający się przed memi oczyma: na liściach i kwiatach błyszczały jeszcze kropelki rosy; w powietrzu rozlegał się miły śpiew ptasząt: para danieli stojąc pod pysznemi drzewami, zaglądała ciekawie na drugą stronę drogi; prześliczny paw' przechadzał się majestatycznie na trawniku przed memi oknami.

W tym spokoju natury, w tym pierwszym uśmiechu dnia pogodnego, w tej woni kwiatów wznoszącej się aż do mnie, w łagodnym głosie łani nawołującym młode sarniątka, w miłem świergotaniu ptaszą w gniazdkach, było coś przypominającego mi wczorajszą moją rozmowę z kuzynem Ulrykiem; ten spokojny i uroczy widok który miałam przed oczyma; zdawał mi się wiernem odbiciem małżeństwa, jak on mi je przedstawił. Nie mówił mi o jakiemś szczęściu nieograniczonem, wolnem od trosk wszelkich, (a jednak takie życie we dwoje jak on mi je przedstawił, musi przynosić niewysłowione szczęście), jakiego trudno, nawet niepodobno znaleźć na ziemi, ale mówił z głęboką wiarą, z jakiemś, że tak powiem, religijnem namaszczeniem, napełniającem duszę moją tak błogim spokojem jak ten spokój budzącej się ze snu przyrody.

Wyglądałam ciągle przez okno, zajęta powyżej przytoczonemi myślami, gdy w tem zwróciły na siebie moją uwagę owe daniele stojące przy drodze. Pierzchliwe te stworzenia najprzód zbliżyły się do siebie podnosząc uszy, a następnie uciekły razem w gęstwinę; jednocześnie groom przyprowadził osiodłanego konia przed drzwi pałacu znajdujące się pod moim oknem, a w minutę później pan Moore ukazał się na marmurowych schodach. Powiedział coś do służącego, wskoczył zręcznie na siodło, a spostrzegłszy mnie w oknie zwrócił konia, i ukłonił mi się zdejmując kapelusz: nie mniej i nie więcej. Co do mnie patrzyłam za nim dopóki nie znikł mi z oczu.

Pan Moore był piękny, miał bardzo miły wyraz twarzy, posiadał wykwintne ułożenie i pochodził z arystokratycznej rodziny, uważałam to więc za prawdziwe szczęście dla Felicyi że pozyskała jego przywiązanie, tylko ponieważ panna d'Alvan nie pochodziła z dawnej szlachty belgijskiej, zdawało mi się że familja pana Ernesta Moore będzie przeciwna temu związkowi, i przez życzliwość dla nich niepokoiłam się tem trochę.

Z drugiej jednak strony już sam sposób w jaki pan Moore wymawiał imie Felicyi nie pozwalał nie wątpić że był do niej szczerze przywiązany, pocieszałam się więc tą myślą że pan Moore jest zbyt szlachetnym, i zbyt stałym w swych postanowieniach aby nie potrafił przełamać oporu swej rodziny. Zadziwiła mnie wiadomość że pisywali ciągle do siebie, z tego głównie powodu że Felicya zwykle tak otwarta ze mną, nie wspomniała mi o tem ani słówka. Myśląc o listach Felicyi, przypomniałam sobie o przesłanym mi za jej pośrednictwem bileciku, co znów nasunęło mi myśl że pan Moore uwiadomi ją o naszem spotkaniu się w Trampton, i że tym sposobem ojciec mój dowie się także o miejscu mego pobytu.

W oczach mi się zaćmiło z przerażenia, gdyż po obietnicy uczynionej kuzynowi Ulrykowi, postanowiłam że nigdy już bez jego zezwolenia nie napiszę do pana Dawid'a; pragnęłam więc bardzo aby go nie doszła żadna wiadomość o mnie przed moim ślubem, który miał nastąpić za sześć tygodni.

Muszę tu nadmienić, że właśnie w wilję tego dnia wieczorem, kuzyn Ulryk prosił mnie abym zezwoliła na przyśpieszenie naszego ślubu, ja zaś odpowiedziałam śmiejąc się: że jest moim samowładnym panem, a zatem może sam oznaczyć dzień najodpowiedniejszy jego życzeniu.

Teraz już nie wierzyłam temu że ojciec mój zostałby uwięzionym gdybym powierzyła kuzynowi Ulrykowi dotyczące go szczegóły, nie upoważniało mnie to jednak do zdradzenia powierzonej mi przez niego tajemnicy. Zdawało mi się że teraz nie mogę już nic więcej uczynić dla wyjścia z tak kłopotliwego położenia, jak tylko nie odpisywać wcale na listy pana Dawid'a, choćby nawet najgroźniejsze, spodziewałam się że tym sposobem albo zniechęcę go do pisywania do mnie, albo znaglę do zgłoszenia się wprost do mego opiekuna. Ale gdyby się dowiedział o mojem obecnem położeniu, mógłby mnie dręczyć ciągłemi pogróżkami, że nie pozwoli mi pójść za kuzyna Ulryka, że mnie wywiezie z Rockborough, jeżeli się nie zgodzę na jego wymagania. Obawa moja wzrastała w miarę jak zastanawiałam się nad tym przedmiotem, pragnęłam zobaczyć jak najprędzej pana Moore, i wymódz na nim przyrzeczenie że nie uwiadomi Felicyi o naszem spotkaniu. Nie wiedziałam jeszcze jak mam upozorować to żądanie, ale czułam że było niezbędnem, choćbym miała obudzić ciekawość pana Moore: wszystko wydawało mi się niczem w porównaniu z grożącem mi niebezpieczeństwem, w razie gdyby pan Dawid dowiedział się o tem co tak gorąco pragnęłam ukryć przed nim.

Obawa i niepokój tak mnie rozstroiły że kiedy zeszłam na śniadanie policzki moje pałały, a w całej osobie znać było jakieś znużenie.

Ciotka Marry zapytała mnie zaraz czy źle spałam a kuzynka Maryanna odezwała się, że jeżeli tak było, to widać że jakiś ważny powód musiał spędzać sen z moich oczu, bo zwykle sypiałam doskonale.

Mieszkańcy pałacu schodzili jedni po drugich na śniadanie, a ja za każdem otworzeniem drzwi zwracałam na nie oczy, ale napróżno, ten którego pragnęłam zobaczyć nie pokazywał się wcale; nawet lord Oton, spóźniający się zwykle już przybył, a Ernesta Moore jeszcze nie było; domyśliłam się w końcu że nie wrócił jeszcze z porannej przechadzki.

— Kogóż tak upatrujesz, moja droga, zapytała ciotka Marry.

— O! nikogo, odpowiedziałam śpiesznie, zwracając oczy na filiżankę z herbatą.

— Nic nie jesz, Doro: może sprobujesz komputu z moreli?

Wzięłam trochę komputu dla zadowolnienia ciotki Marry, ale gdy w parę minut później wszedł służący, tak żywo i niespokojnie spojrzałam na drzwi że wszyscy to spostrzegli.

— Jeżeli oczekujesz przybycia Ernesta, zawołała śmiejąc się ciotka Julja, to radzę ci, zjedz spokojnie śniadanie, bo zdaje mi się że pojechał do Rockborough. Wszak pan Moore pojechał dziś konno? dodała zwracając się do służącego.

— Tak, milady, parę godzin temu.

Zarumieniłam się jak wiśnia, ale milczałam nie umiejąc nic powiedzieć na moje usprawiedliwienie; kuzynka Maryanna zaczerwieniła się także ale z innego powodu.

— Teodora miałaby oczekiwać tak niecierpliwie na pana Moore! zawołała z oczami błyszczącemi oburzeniem. Uważałabym to za coś bardzo szczególnego, gdyby tak było rzeczywiście.

— A ba! odpowiedziała ciotka Julja która bardzo lubiła sprzeciwiać się kuzynce Maryannie; młodzi tak lubią przestawać z sobą, jak pieski bonońskie nużać się w wodzie. Nie musiałaś jeszcze o tem zapomnieć, Maryanno, wszak prawda?

— Mogę zaręczyć że nie zapominałam nigdy o przepisach przyzwoitości, ani też o tem co byłam winna mej osobistej godności, odpowiedziała dumnie.

Przykro mi było że znów zwróciłam na siebie ogólną uwagę, i nie śmiałam już spojrzeć na nikogo. Po śniadaniu, ciotka Marry, zapytała mnie czy nie chciałabym przejechać się małym powozikiem, na co zgodziłam się jak najchętniej, ciesząc się że tym sposobem uniknę śledczego wzroku miss Ford.

Pana Moore zobaczyłam dopiero gdy siadaliśmy do *lunchu*. Usiadł przy mnie i w ciągu rozmowy zapytał czy mu nie dam jakiego polecenia do Londynu, gdzie właśnie wyjeżdża, ale wróci jeszcze do Trampton za parę dni.

— Więc pan dziś jeszcze wyjedzie? zapytałam zdziwiona.

— Tak, zaraz po *lunchu*; to jest o trzeciej.

Oddalał się więc z Trampton, a jakkolwiek na krótko, trudno było przewidzieć co przez ten czas może donieść Felicyi, trzeba więc było koniecznie zapobiedz temu zanim wyjedzie.

— Panie Moore, odezwałam się nieśmiało.

— Co pani rozkaże.

— Chciałabym koniecznie... powiedzieć coś panu, przed wyjazdem pana, a tu mówić nie mogę... i nie wiem...

Widziałam że go to zadziwiło, ale pomimo to odpowiedział mi zaraz:

— Niech pani uda się do salonu jak tylko wstaniemy od *lunchu*, ja pośpieszę tam za panią.

Salonem nazywano bardzo długi ale wązki pokój znajdujący się w środku pałacu, wielką tę salę zdobiły posągi marmurowe stojące w niszach; ściany i wszystkie meble były pokryte płótnem indyjskiem a cała posadzka pokryta matami japońskiemi, sa-

lon ten był prawie zawsze pusty. Pan Moore przybył tam prawie jednocześnie ze mną.

— Niech mi pani nie weźmie za złe, rzekł do mnie, jeżeli panią uprzedzę że rozmowa nasza musi być bardzo krótką, jestem zmuszony udać się do Londynu w interesie dyplomatycznym, i dla tego muszę koniecznie wyjechać z Rockborough pociągiem wychodzącym o czwartej.

— Nie zatrzymam pana długo, odpowiedziałam; chciałam tylko prosić aby pan pisząc do Felicyi nie wspomniał jej nic o naszem spotkaniu, jak pan powróci powiem dla jakiego powodu.

— Ah! miss Fleming! zawołał zakłopotany.

— Już pan doniósł jej o tem? rzekłam domyślając się że moje zastrzeżenie przyszło zapóźno.

— Tak, niestety! Pisałem do niej wczoraj wieczorem, a dziś rano pojechałem do Rockborough aby oddać list na pocztę. Wiem że jej to sprawi przyjemność skoro się dowie że jesteśmy razem i mówimy o niej, żałuję jednak że się tak pośpieszyłem, skoro to sprzeciwia się życzeniu pani.

— O! niech się pan oto nie troszczy tak bardzo, odpowiedziałam nie chcąc mu okazać jak wielką sprawiało mi przykrość; nie ma w tem znów nic tak ważnego i może niepotrzebnie wspomniałam panu o tem.

— Ale muszę pani wyznać całą moją winę; doniosłem Felicyi coś więcej jeszcze, powtórzyłem jej wiadomość którą usłyszałem wczoraj z ust lady Vivian, to jest że pani jest narzeczoną doktora Ford.

— A! ja tak nie życzyłam sobie tego.

Taką mi to sprawiło przykrość że pomimowolnie powiedziałam to z żywością, ale po chwili żałowałam już mego uniesienia, gdy pan Moore zawołał z wyrazem szczerego żalu:

— O! czemuż nie mogę cofnąć tego listu, ale sądziłem że wolno o tem mówić, a wiem że tak dobra wiadomość uszczęśliwi Felicyę. Cóż mam teraz czynić, miss Fleming?

— Nie może już pan cofnąć tego co się stało, najlepiej więc niech pan zapomni o tem co powiedziałam, tem więcej, że jak już mówiłam, nie idzie znów o nic tak bardzo ważnego.

— Nie mogę zapomnieć o tem, nie zapomnę przez całe życie! Powinienbym uciąć sobie prawą rękę, lub spalić ją przy świecy jak stary Cramner!

Roześmiałam się pomimo woli z tego desperackiego wykrzyknika, chociaż w duszy było mi bardzo smutno.

— Teraz niech pan myśli tylko o tem aby nie spóźnić się na pociąg, bo w przeciwnym razie będzie pan musiał opłakiwać dwa nieszczęścia razem.

— Czy mi pani przebaczy?

— Najzupełniej. Przewinienie pana było mimowolne, i mam nadzieję że nie ściągnie na mnie żadnej nieprzyjemności.

— O! bezwątpienia; Felicya nie widuje nikogo z pani znajomych, wyjąwszy...

— A! panie Moore, pan się spóźni na kolej; zdaje mi się nawet że ciotka Julja pyta się o pana.

Podał mi rękę na pożegnanie i oddalił się prędko, a jednocześnie kuzynka Maryanna weszła do salonu.

— Lady Vivian szuka pana wszędzie, rzekła przechodząc koło pana Moore, a następnie zwróciła się w stronę gdzie stałam udając że mnie nie widzi.

— Teodora! zawołała jakby zdumiona, kiedy uznała za stosowne zobaczyć mnie. Nie spodziewałam się tego! Co tu robisz? Czy widziałaś pana Moore?

— Nietylko widziałam ale i mówiłam z nim.

— Jesteście z sobą, jak widać w wielkiej przyjaźni. Czy nie zechcesz mi powiedzieć ile razy widziałaś go w Antwerpii?

— Raz tylko.

— Tylko raz! w takim razie to spotkanie się wasze musiało trwać długo? Przez ile też godzin byliście wtenczas razem?

Nie byłam wcale usposobioną do słuchania nauk i napomnień kuzynki Maryanny, dle tego też odpowiedziałam jej spokojnie:

— Kuzyn Ulryk zna wszystkie szczegóły dotyczące tej znajomości, możesz więc zapytać go o wszystko czego pragniesz się dowiedzieć, bo ja nie mam ochoty powtarzać tego co już raz powiedziałam.

Po tych słowach oddaliłam się tańcząc walca przez całą długość salonu, i zatrzymałam się dopiero na korytarzu wiodącym do mego pokoju.

Jakkolwiek w obecności kuzynki Maryanny starałam się okazać zupełnie swobodną, to co mi powiedział pan Moore zaniepokoiło mnie bardzo, i z obawą spoglądałam w przyszłość.

Szczęściem, kuzyn Ulryk przybył znów na obiad, i radość jakiej doznawał patrząc na prawdziwie serdeczne moje stosunki z całą rodziną, wynagrodziła mi za wszystko co w tym dniu przecierpiałam, pogodziła mnie z teraźniejszością, i zachęciła do spokojnego oczekiwania wszystkiego co mnie może spotkać w przyszłości.

Wyszliśmy znów wieczorem do parku, i kuzyn Ulryk powiedział mi, że sir Lionel i lady Halsted życzą sobie bardzo abym dopiero po ślubie wyjechała do Rockborough, i aby ślub nasz odbył się w Trampton. Ten dowód ich szacunku i przywiązania do mnie i do kuzyna Ulryka, rozrzewnił mnie i sprawił mi prawdziwą przyjemność.

Mój drogi opiekun dodał że zgodził się na to z prawdziwem zadowolnieniem, ponieważ nabył bardzo piękny dom w pobliżu tego który zajmował obecnie, i trudnoby mi było pozostać w dawnym mieszkaniu, w czasie gdy z niego będą przenosić do nowego domu wszystkie cenne przedmioty i sprzęty. Znałam tę przyszłą naszą siedzibę, był to jeden z najwspanialszych i najpiękniejszych pałaców w Rockborough, dla tego też zdawało mi się że jestem zbyt niedoświadczoną i nieznaczącą istotką abym była godną zostać jego panią. Powiedziałam to kuzynowi Ulrykowi, ale żartował tylko z mojej nieuzasadnionej, jak się wyraził, obawy. Niestety! tak uporczywie uważał mnie za lepszą jak byłam w istocie, że drżałam myśląc o tem coby powiedział gdyby poznał wszystkie moje przewinienia.

Czem silniej wierzył w nienaganność mego postępowania i w moją szczerość, czem wspaniałomyślniej przebaczał mi moje przeszłe przewinienia, czem nakoniec okazywał mi jawniej, że nie uważa mnie już za dziecko, ale kocha i szanuje jak przyszłą towarzyszkę swego życia, tem silniejsze budził we mnie postanowienie że nigdy już nie uczynię nic takiego, czego nie mogłabym mu wyznać bez zarumienienia.

Wierzył że jestem dobrą i szczerą; pragnęłam więc stać się rzeczywiście dobrą i zupełnie szczerą, aby nie doznał bolesnego zawodu. Wpływ jego szlachetnej duszy uszlachetniał mną, bez żadnej z mojej strony zasługi, ale kiedy mi wyrażał swoje dla mnie uczucia, pragnęłam szczerze stać się ich godną.

Pan Moore powrócił nazajutrz, i następnie dość często rozmawialiśmy z sobą.

Wszyscy w Trampton obsypywali mnie pieszczotami: dziadek przywiązywał się do mnie coraz więcej, byłam najukochańszą pieszczoszką babuni, a ciotki pieściły mnie i dogadzały na wyścigi.— Gdzie jest Dora? — Przyślijcie do mnie Dorę—powtarzali wszyscy zaledwie odeszłam, jakby nie mogli nacieszyć się moją obecnością, i rzadko zdarzył się dzień taki w którym nie dostałam od kogoś jakiegoś podarunku.

Skoro tylko dowiedziano się że umiem jeździć konno, przeznaczono wyłącznie dla mnie najlepszego wierzchowca z całej stajni, i odtąd brałam zawsze udział we wszystkich wycieczkach ciotki Julii, lorda Otona i pana Moore. Nie raz zapuszczaliśmy się aż do Rockborough, i w takim razie spotykałam często kuzyna Ulryka, którego twarz rozpromieniała się gdy nas zobaczył. Wszystkie przykre wspomnienia łączące się z imieniem mej matki, a po części spadające i na mnie, zostały zapomniane; zdawało się że w sercu dziadka i babki zajęłam miejsce tej córki którą utracili, w skutek jej nieszczęsnego zamążpójścia. Ciotka Julja zapewniała mnie często, że nie spodziewała się nigdy już widzieć rodziców w tak wesołem usposobieniu jak są obecnie.

Przyjemnie mi było słuchać tych zapewnień, i usilniej jeszcze starałam się przypodobać dziadkowi i babce, przez wdzięczność za ich dobroć i pobłażliwość dla mnie; wkrótce też obecność moja stała się im tak potrzebną. jak gdybym całe życie przepędziła w Trampton. Weszło naprzykład w zwyczaj że codzień po śniadaniu czytałam gazety dziadkowi, a po *lunchu* towarzyszyłam babuni do ogrodu i do cieplarni, i sądziłabym że gniewają się na mnie gdyby kiedyś nie zażądali odemnie tej małej przysługi.

Nigdy jednak nie doznałam tak głębokiego i miłego wzruszenia, jak wtenczas gdy babunia zaprowadziła mnie do swego gabinetu, aby mi oddać tę część klejnotów którą przeznaczała dawniej dla mej matki. Jednak te kosztowne klejnoty nie uszczęśliwiły mnie tyle co ta wiadomość, że dziadek prosił o to aby mi były oddane w imieniu mej matki, jako ślubny podarunek od niej.

Nigdy nie zapomnę tych chwil błogich które wtenczas spędziłam razem z dobrą moją babunią, gdyż pierwszy raz dopiero wolno mi było mówić z nią o mej matce. Ona pierwsza zaczęła mi opowiadać różne szczegóły z młodych i dziecinnych lat mej drogiej matki; mówiła mi że była bardzo piękną, tak piękną że kiedy szła przez ulicę ludzie przystawali aby jej się przypatrzyć lepiej.

Ja następnie opisałam jej nasze smutne życie w Saltpoolu, gdzie piękność mojej drogiej mateczki znikała wraz z nadzieją odzyskania szczęścia i płakałyśmy razem, gdy zaczęłam mówić o jej ostatniej chorobie, o jej śmierci tak smutnej, tak sierocej. Babunia pobłogosławiła mnie wtenczas, i powiedziała że byłam dobrem dzieckiem, i jedyną pociechą dla jej biednej Cecylii, oraz, że powinniśmy prosić gorąco Boga, aby połączył nas znów wszystkich razem w przybytku wiecznej szczęśliwości, skoro ukończymy tę ziemską pielgrzymkę.

Wychodząc od babuni, nie pomyślałam nawet że nie wspomniałyśmy wcale o moim nieszczęśliwym ojcu.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 1.

N. 1—3. Ubrania spacerowe i na ślizgawkę.

N. 1. Ubranie z vetement. Przód i forma na dodatku z krojami Nr X, Fig. 28 — 29.

Ubranie spacerowe odrobione z używanego na pledy materyału w kratę; krótka spódniczka oszyta wązkiem plisowaniem z ponsowej materyi surah i 18 cent. szerokiem futrzanem obłożeniem. Na Fig. 28. dajemy model i miary kroju vetement futrem okładanego. Draperyę tylną kraje się razem z przodami, z jednego bryta pledowego materyału, podług litery *a*; przody do wcięcia w stanie zapięte są na haftki, a niżej zachodzą jeden na drugi i zapinają się na patki 7 centym. szerokie, objęte ponsową wypustką. Cienka linijka oznacza na Fig. 28 środek przodów, które z brzegów są trochę przyfałdowane do 130 cent. długości; fałdy boczne daje się w miejscu wskazanem krzyżykami i punktami. Z tyłu brzegi draperyi nie są zeszyte tylko jeden na drugi założone, w górze sfałdowane i na pleckach *c*, w miejscu krzyżykiem i kropką wskazanem z wierzchu przyszyte. Tylne brzegi od gwiazdki do dołu są luźno puszczone i podszyte na 19 cent. szerokości ponsową surah. Boczki pleców *b* zachodzą na draperyę i są oszyte futrem, którem zdobią się przody stanik i rękawy, w sposób wskazany na ryc. 1 i Fig. 29.

N. 2. Ubranie z vetement paletocikowem i draperyą na spódnicy.

Odrobione z kaszmiru i ubrane pluszem takiego samego koloru. Krótka z draperyą spódniczka oszyta u dołu wązkiem plisowaniem i plisą pluszową 12 cent. szeroką, nad którą dana falbana 25 centym. szeroka, ułożona w 3 cent. szerokie kontrafałdy. Powyżej z przodu na spódnicy ułożona draperya przyfałdowana i przy tylnym brycie wszyta, którą z tyłu dopełnia bryt razem z pleckami vetement krajany. Obcisłe paletocikowe przody u dołu otwarte, w górze zapinają się na kryte haftki; maleńką pelerynkę przypina się pod wykładanym pluszowym kołnierzem. Paziowski berecik z bronzowego bluszu ubrany piórem z bórtą z perełek irys.

N. 3. Suknia z tuniką i stanikiem z długą baskiną.

Ubranie to z szewiotu w cienką kratę, obłożone futrem farbowanych niedźwiadków. Przody tuniki lekko podpięte z tyłu, z boków fałdowane, zachodzą się jeden na drugi. Spódniczka oszyta szeroką falbaną, zakończoną wązkiem plisowaniem z atłasu w jasnym kolorze. Stanik zapięty na guziki stalowe. Mufka z pluszu i z atłasu ogarnirowana koronką kremową.

N. 4. Imitacya koronki ,,vermicelle" robiona na tiulu.

Najnowsze i najwięcej używane desenie koronkowe nazywają się ,,vermicelle." W imitacyach deseń obwodzi się nićmi płaskiemi, świecącemi a zarabia nićmi koronkowemi. Dziurki z brzegu najpierw się wywodzi następnie przekała, wycina i obrzuca a nakoniec zarabia pajączki; brzeg oszyty pikotami fabrycznemi koronkowemi.

N. 7 — 28. Lalka i cała garderoba dla niej.

W dzisiejszym numerze podajemy model i formy ubiorów i bielizny dla lalki, ażeby niedorosłe panienki strojąc lalki dla młodszego rodzeństwa, obznajmiały się dokładnie z krawiecczyzną i szyciem bielizny, które każda kobieta umieć powinna. Na ryc. 7 — 12 dajemy próbki łatwych szlaczków, które nietylko dla lalek ale i do bielizny dziecinnej służyć mogą. Na ryc. 13 lalka ma spódniczkę z przodu gładką z tyłu trochę w górze przymarszczoną z pluszu w ciemnym kolorze, a vetement bluzkowe z blado żółtego kaszmiru, przykrojone podług formy na sukienkę nocną Fig. 74—76. Rękawy pluszowe, pelerynka kaszmirowa podszyta kolorową materyą związana na sznury jedwabne, które służą także do przewiązania vetement w pasie. Na ryc. 28 dajemy tekturowe pudełko ze wszystkiemi kąpielowemi przyborami, odrobionemi z materyału ,,rubber" i ceraty, wyszytemi włóczką i tasiemką ponsową.

N. 33 i ryc. 17 w N-rze 2. Przykrycie na poręcz do sofy. Haft łańcuszkowy i ściegiem długim. Deseń na arkuszu z formami Fig. 31.

Płótno bośniackie odznaczające się matową białością, mocą i rzadkim, miękkim wyrobem, najwłaściwsze jest do podobnych robót, które najlepiej wykonywać w krośnach igłą tamborkową. Na modelu użyte były kolory: ponsowy, popielaty, dwa cienie zielone i fijołkowe i nitka złota. Grubość materyału i rodzaje ściegów widoczne są na narożniku naturalnej wielkości ryc. 17 w N-rze 2 Tygodnika Mód. Na tle dawane są w równych odstępach takie same szlaki jak przy narożniku i w około przykrycia; prążki łańcuszkowe robić dwoma cieniami zielonemi, krzyżowany ścieg pomiędzy niemi dawać z jednej strony pasów ponsowy, z drugiej fijołkowy. Deseń środkowy obwodzić nitką złotą, ściegiem łańcuszkowym a środkowe figury naprzemian ponsowym i dwoma cieniami fijołkowemi. Szlak brzeżny na który deseń dajemy na Fig. 31 i liście górne przy szlaku obrabia się dwoma rzędami łańcuszka; liście kolorem ponsowym i popielatym na gałązkach zielonych, a środki w nich nitką złotą, zaś figury arabeskowe naprzemian cieniami zielonemi i fijołkowemi. Brzegi przykrycia oszyte wązką koroneczką złotą.



N. 1 — 3. Ubrania spacerowe i na ślizgawkę.

N. 1. Suknia z vetement. N. 2. Suknia z ubieraną spódnicą i vetement. N. 3. Suknia z tuniką i długim stanikiem. Krój i przód do ryciny 1 na arkuszu Nr X, Fig. 28 — 29.

N. 35—36. Mufka i kapturek z pluszu i atłasu. Krój kapturka Nr IX, Fig. 26—27.

Kapturek taki służy zarówno do płaszczyka, paletota lub do vetement do kostjumu spacerowego. Środkową część kapturka przykrawa się podług Fig. 26 z podwójnego, sztywnego muślinu, podszywa od spodu atłasem i zeszywa od *o* do *w* z obłożeniem brzeżnem pluszowem, a zbywającą długość od tego ostatniego, fałduje drobno u dołu. Następnie w część środkową daje się atłas przemarszczany sposobem wskazanym na ryc. 35, a wyłożenie podszywa się gładko atłasem. Nakoniec zeszywa się kapturek od *u* do *v* i wywija plusz w ten sposób ażeby *x* z *x* się schodziło, a wykrój szyi cokolwiek przymarszczony, wszywa się w listewkę. Mufkę robi się z kawałka pluszu atłasem podszytego, mającego 30 cent. szerokości a 68 długości, w kółko zeszytego, a 6 cent. od brzegów, 3 cent. szeroko tak przymarszczonego, żeby tylko ręce łatwo wsuwać można było; po włożeniu mufki środek stanowi bufę, brzegi zaś są podgarnirowane dwoma lekko fałdowanemi falbankami, z podwójnie złożonych 8 i 9 cent. szerokich skośnych kawałków atłasu. Kokardy 3 cent. szerokie z atłasu podwójnie złożonego; sznury jedwabne.

N. 37. Płaszczyk długi. Krój i plecy na arkuszu z formami, Nr II, Fig 5 — 9.

Płaszczyk formą burnus przypominający, jest jednak zręczniejszy od niego, bo plecy ma wcinane a ręce można dogodnie wyjąć otworami, urządzonemi pod bocznemi, na przody zachodzącemi częściami. Na Fig. 5 — 8 dajemy formę płaszczyka, którą podług oznaczonych miar, trzeba u dołu dopełnić. Przody zeszywają się od G do H na ramionach z częściami bocznemi, brzegi ich tylne objęte są listewką. następnie od H do dwukropka i od kropki do dołu, przyszyte są szwem obrąbkowym, do zachodzących się na wierzch części bocznych. Od dwukropka do kropki pozostają otwory na ręce. Model płaszczyka odrobiony był z grubego dubeltowego materyału, a kołnierz wykładany i plisy, dane były z pluszu; frendzla sznelowa, guziki aksamitne.

N. 38—39. Ubranie domowe z tuniką. Krój tuniki Nr XVII, Fig. 82.

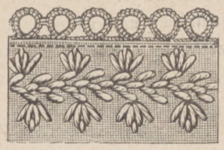
Ubranie takie odrobić można z materyału gładkiego lub w kratę; przy gładkim brzegi przestębnować kilka razy jedwabiem, do sukni w kratę dać wypustki z materyi gładkiej. Model i miary tuniki dajemy na Fig. 82. Bryt przedni *a* przemarszcza się z boków kilka razy i skróca do 50 cent.; bryt tylny podpina się oddzielnie z każdego boku za pomocą inaczej zaszywanych fałdek. Z jednej strony daje się od krzyżyka do punktu długi pukiel, a poniżej kilka fałdek i zeszywa z przodem do gwiazdki, z drugiej na 35 cent. od górnego brzega zaszywa się fałdki, poniżej do dwukropka zakłada w się pukiel, a od dołu spada luźno i układa się w róg. Szeroki chusteczkowy kołnierz z tej co wypustki materyi, guziki metalowe.

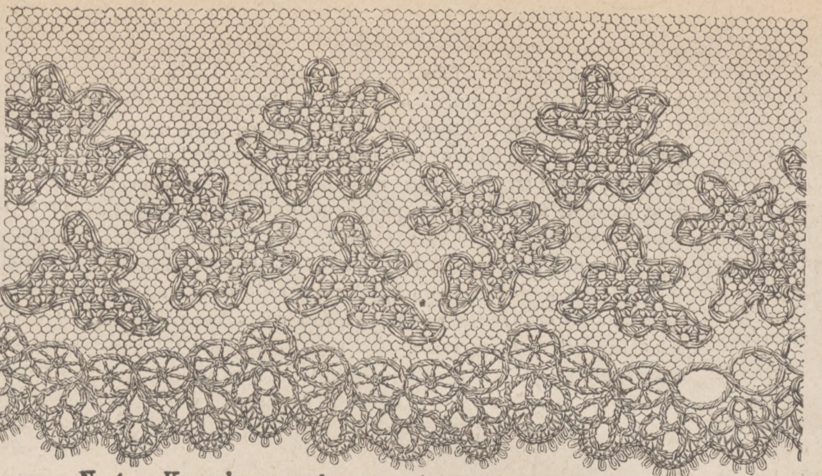
N. 42. Chusteczka z kapturkiem, plecy na rycinie 4 w N-rze 2. Krój Nr V, Fig. 16 — 17.

Kołnierz i kapturek kraje się z blado żółtej materyi surah; pierwszy podług znaków zakłada się wzdłuż brzegu w drobne fałdki potrzebne do szerokiego ranwersu. Kapturek zaszywa się od U do V i wszywa w pasek 2 cent. szeroki; następnie przyszywa się kołnierz od spodu do paska kapturka, od gwiazdki do

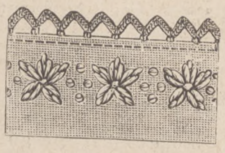

N. 5. Ząbki szydełkowe z mignardisse.

dwukropka. Brzegi chusteczki i kapturka oszyte są w sposób na ryc. 42 i 4 wskazany, nadmarszczoną koronką „vermicelle" 7 cent. szeroką. Kokardy ze wstążki.


N. 7. Szlaczek do ryciny 17.


N. 4. Koronka wywodzona na tiulu, naśladująca koronkę Vermicelle.


N. 6. Ząbki szydełkowe z mignardisą.


N. 8. Ząbki do bielizny dla lalki.

N. 43. Pelerynka z kapturkiem (Sortie de bal).

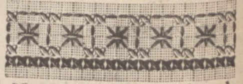
Model pelerynki odrobiony był z niebieskiego pluszu, z podszewką z białego fularu, a w środek kapturka dany był atłas biały. Frendzla i kwasty sznelowe.


N. 19. Szlaczek ściegiem na dwie strony.


N. 11. Wyszycie zdobiące szew w ryc. 19.

N. 48 Książeczka do igieł formą motyla. Robota „petit-point" na gęstej kanwie. Forma i deseń skrzydełek na arkuszu z krojami Fig. 33 i 34.

Korpus wyściela się watą i zeszywa od spodu; pod skrzydełka dać podszewkę białą jedwabną, odzierganą z brzegu jedwabiem orzechowym i po parę skrzydełek z białej flaneli, które razem ze skrzydełkami zwierzchniemi przyczepić od spodu do korpusu.


N. 10. Szlaczek do ryc. 16.

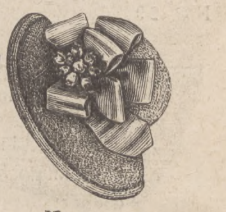

N. 12. Szlaczek do ryc. 19—28.


N. 14. Sukienka dla lalki. Patrz r. 15. Krój na ark. N. XV, Fig. 59-63.


N. 13. Ubranie dla lalki.


N. 15. Sukienka dla lalki. Przód i krój ryc. 14.


N. 18. Szlafrok dla lalki. Krój na ark. Nr XV, F. 74—76.


N. 21. Kapelusz dla lalki.


N. 17. Czepek nocny dla lalki.


N. 20. Kapotka dla lalki. Krój na arkuszu Nr XV, Fig. 70—72.


N. 19. Bucik dla lalki. Krój na ark. Nr XV, Fig. 80.


N. 22. Płaszczyk z kapturkiem. Patrz r. 23. Krój na ark. Nr XV, F. 65--69.


N. 16. Fartuszek. Krój na ark. Nr XV, Fig. 64a—64b.


N. 22. Paletot z kapturkiem. Patrz ryc. 22.

N. 44. Koszyk do robót.

Zrobiony z trzcinki i pozłacanych plecionek słomkowych, z dnem drewnianem, ozdobionem haftem koronkowym hiszpańskim, odrobionym na aksamicie bordo. Deseń na Fig. 87. Barbki wewnętrzne koszyka pokryte w bufki układanym atłasem bordo; takież grube sznury jedwabne. Zwierzchnią stronę koszyka zdobi lambrekina w zęby, robotą szmuklerską, z kordonku bordo z dodaniem nitki złotej. Kulki i kwasty z włóczki crevel różnokolorowej i jedwabiu kordonkowego.

N. 45—46. Płaszczyk strojny zimowy.

Rycina 45 przedstawia płaszczyk z dwojakiego materjału odrobiony. Rękawy stanowiące z tyłu pelerynę są z aksamitnej brokateli, a płaszczyk z ciężkiej jedwabnej materyi gładkiej. Model do ryc. 46 odrobiony był z jedwabnego atłasu. Pod obydwoma płaszczykami podszewka jednakowa z ciemno ponsowego pluszu, jednakowe frendzle sznelowe 15 cent. szerokie i 12 cent. szerokie obłożenie futrzane. Przody zdobiła bogata pasmanterya, w górze 19 cent. szeroka, stopniowo zwężona do dołu.

N. 50—51. Woreczek pompadour do robót. Deseń na Fig. 32.

Woreczek mający 24 cent. długości a 19 szerokości, uszyty był z blado różowego atłasu na białej podszewce. Zwierzchnie przyozdobienie dane z obydwóch stron, przykroić podług Fig. 32, a część górną podług ryc. 51, z aksamitu ciemno bordo i wyszyć ściegiem łańcuszkowym i długim, kordonkiem cieniowanym, w sposób wskazany na ryc. 51. Część górną łączy się z dolną rozetkami z pasmanteryi i krytemi ściegami. Z brzegów obie strony haftu zeszyte są i oszyte w górze sznurem jedwabnym. Kwasy sznelowe.


N. 29. Sukieneczka princesse dla dziewczynki lat 4-6. Opis w N. 2. Krój na ark. Nr XIV, Fig. 51-58.


N. 28. Przybory i ubranie kąpielowe dla lalki.


N. 38. Szlafroczek dla panienki lat 6 do 8. Przód na ryc. 37 w N-rze 2.


N. 31. Szlaczek ściegiem łańcuszkowym i krzyżykowym.

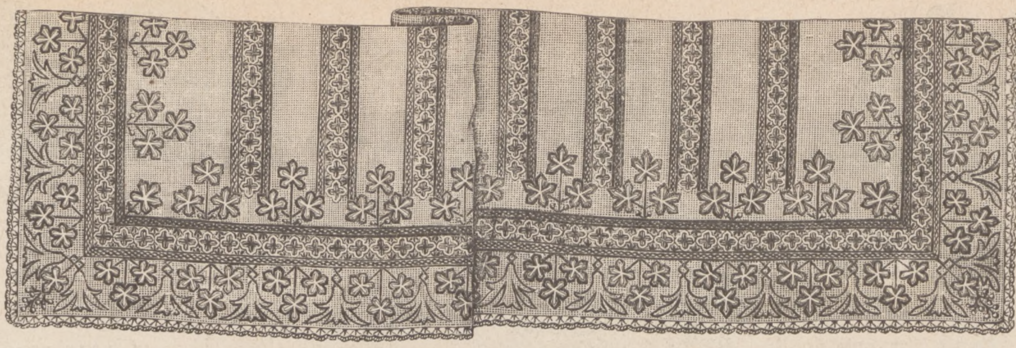

N. 24—27. Kosz na bieliznę dla lalki. Krój majtek na arkuszu Nr XV, Fig. 77. Krój koszuli na arkuszu Nr XV, Fig. 73.


N. 32. Szlaczek wyszyty supełkami i ściegiem luznym.

N. 52. Kapturek na głowę oszyty puszkiem łabędzim. Krój Nr IV, Fig. 14—15.

Model zrobiony był bez podszewki, z materyału białego trykotowego, używanego na chustki, mającego robiony spód jak na drutach, a wierzch włochaty. Przybranie dane przez środek główki i karczka, układa się ze skośnego, 28 cent. szerokiego białego atłasu, w równych odstępach kilka razy przemarszczonego. Na każdą bufę trzeba doliczyć 3 cent. długości, które z boku są drobno przyfałdowane.





N. 33. Serweta na poręcz od szeslongu. Deseń patrz Fig. 31.



N. 34. Kołnierz skunksowy z krawatką koronkową.



N. 36. Kapturek z pluszu i atłasu. Krój na arkuszu Nr IX, Fig. 26 — 27.

W główce kapturka zaszywa się z przodu małe i z tyłu oznaczone na formie fałdki, i zeszywa ją z karczkiem od S do T; szew podszywa się wstążką białą 2 cent. szeroką, którą objęte są także brzegi kapturka. Przy twarzy i po brzegach garnirunku z atłasu daje się puszek a karczek oszywa się 13 cent. szeroką, włóczkową w ramach robioną frendzlą.



N. 38—39. Ubranie domowe z tuniką. Krój tuniki na ark. Nr XVII, Fig. 82.



N. 40. Kapelusz filcowy.



N. 41. Berecik aksamitny.



N. 42. Czusteczka z kapturkiem. Patrz ryc. 4 w N-rze 2. Krój na arkuszu Nr V, Fig. 16-17.



N. 35. Mufka z pluszu i atłasu odpowiednia do ryc. 36.



N. 43. Pelerynka z kapturkiem (sortie de bal).

N. 53. Szlafrok ranny formą princesse z fałdą Watteau. Krój Nr XI, Fig. 36 — 41a.

Formę podaną na Fig. 36—38 trzeba od dołu podług oznaczonej miary przedłużyć i rozszerzyć; fałdy na plecach z lewej strony do wcięcia w pasie zaszyć, a dalej wolno puścić.

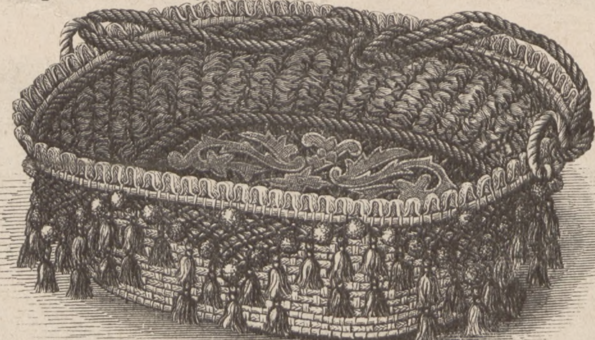
Model szlafroka zrobiony był z czerwonawo bronzowego kaszmiru, a podszycie kapturka, szarfy i kokardy z surah, takiegoż koloru w jasny rzucik.

Szarfy wyszyte na ramionach, a z przodu związane na kokardę, robią się ze skośnych, 25 c. szerokich a 125 długich kawałków surah; przemarszczają w górze i przy kokardzie na 8 cent. szerokości i wszywają 4 cent. od wykroju szyi. Kieszonkę przemarszczaną mającą 18 i 12 cent. długości a 14 szerokości, układa się na sztywnym muślinie. Mankiet przemarszczany, jest 15 cent. szeroki. Garnirunek 30 cent. szeroki układa się w jednym ciągu, plisując drobno dolną połowę a górną przemarszcza się kilka razy i zakończa nagłówkiem. Przody zapięte są na guziki, które poniżej wcięcia w pasie pokrywa wachlarzowo ułożona koronka, 7 cent. szeroka.

N. 37. Długi płaszczyk. Krój i plecy na arkuszu Nr II, Fig. 5 — 9.

N. 54. Ubranie dla małej panienki.

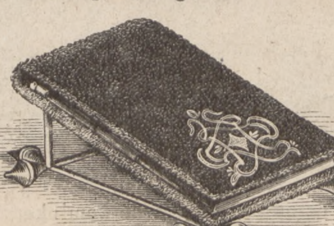
Bronzowa kaszmirowa sukienka miała stanik z długą baskiną i tuniką z przodu złożoną z dwóch części z tyłu dopełnioną prostym brytem podpiętym. Przybranie stanowił szeroki, prosto naszywany sutasz, przedzielany złotym sznureczkiem. Z tyłu nad fałdowaną częścią baskiny naszyta jest szmuklerska agrafa, od której grube, jedwabne ze złotem sznury, z okutemi końcami, przechodzą luźno



N. 44. Kosz do robót, ozdobiony haftem hiszpańskim, deseń patrz Fig. 87.



N. 45. Strojny płaszczyk zimowy. Patrz ryc. 46.



N. 47. Książeczka notatkowa wsparta na postumencie z bronzu.

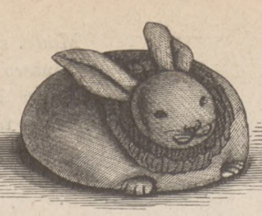


N. 46. Strojny płaszczyk zimowy Patrz ryc. 45.

puszczone od przodu, gdzie są przewiązane.

N. 59—60. Kasetka na papier listowy.

Rycina 59 i 60 przedstawia otwartą i zamkniętą kasetkę niezwykłego kształtu, obitą cienką skórką, z okuciem i antabą stalową. Na frontowej stronie haftuje się jedwabiami kolorowemi bukiecik z róż i niezapominajek, albo monogram; wewnątrz urządzone są kieszonki i paski pokryte kolorową materyą, zawierające wszelkie do pisania przybory. Kasetka otwiera się na dwie strony, za pomocą przyciśnięcia guziczka umieszczonego nad antabą.



N. 49. Królik jako poduszeczka do igieł.



N. 50. Woreczek Pompadour do robót. Patrz ryc. 51, deseń Fig. 32.



N. 63. Szlafrok formą princesse z fałdą Watteau.

N. 54. Sukienka dla dziewczynki. Krój na ark. Nr XI, F. 36-41a.

N. 61. Skrzynka na materyał opałowy do kominka. Malowanie na drzewie.



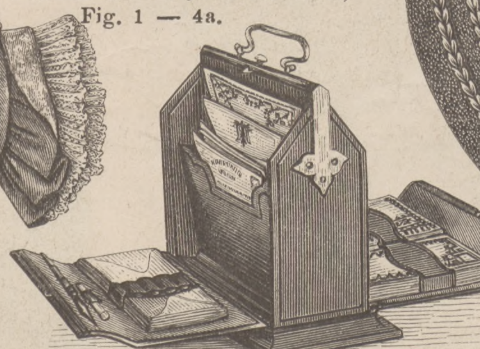
N. 55. Stanik wycięty z bertą chusteczkową, do sukni balowej rycina 9 i 12 w N-rze 2. Krój na ark. Nr I, Fig. 1 — 4a.



N. 57. Rękaw do ryc. 10 w N. 2.

Desenie na arkuszu z krojami Fig. 30a do 30c.

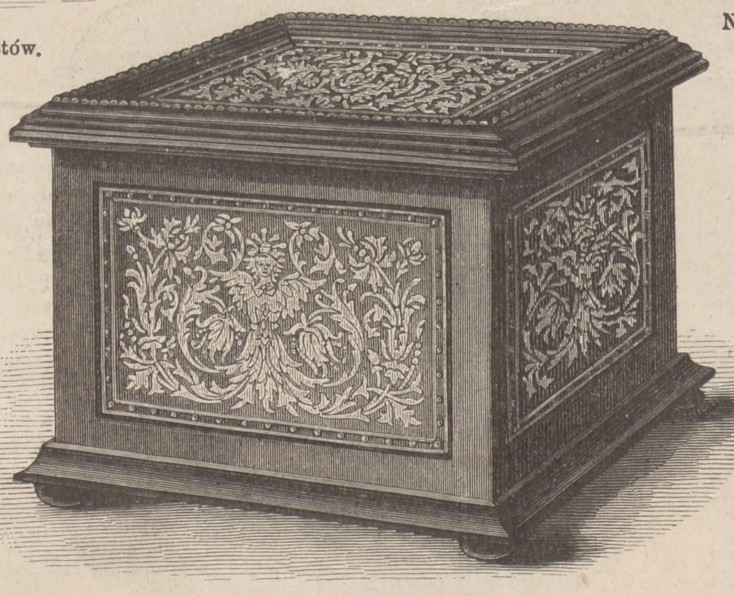
Czarną politurowaną skrzynkę mającą 55 cent. długości, 48 wysokości a 42 szerokości, zdobi malowidło ręczne, odrobione na deszczułkach klonowych w ten sposób, iż deseń zostawia się biały a tło i żyłki maluje się staranne tuszem chińskim.



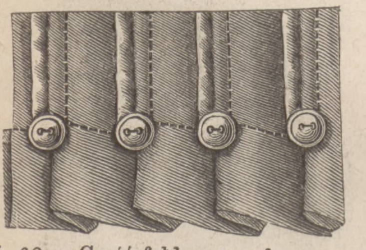
N. 59. Kasetka do listów. Patrz ryc. 60.



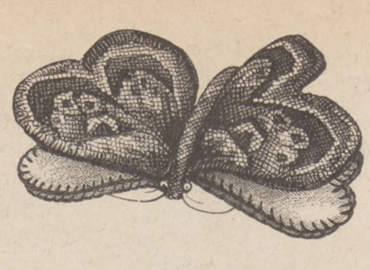
N. 51. Część deseniu do ryc. 50.



N. 61. Skrzynka na drzewo lub węgle do kominka. Malowanie na drzewie, deseń patrz Fig. 30a — 30c.



N. 62. Część fałdowana do ryc. 38 w N-rze 2.



N. 48. Motyl jako książeczka do igieł.

Opis do N-ru 2.

N. 1—2. Uczesanie z karbowanemi włosami i kołnierz chusteczkowy. Krój kołnierza patrz na arkuszu z krojami Nr VI, Fig. 49.

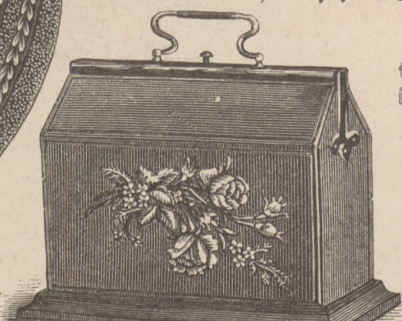
Kołnierz uszyty jest z blado różowego atłasu, na podszewce z materyi surah i objęty plisą pluszową 5 cent. szeroką; wykrój szyi otacza pasek sztywnego tiulu 2 centym. szeroki, przykryty riuszą z koronki 5 cent. szerokiej, otaczającej brzegi kołnierza. Przy zapięciu zamiast kokardy dana rozetka ułożona ze skośnej, podwójnie wziętej materyi. Uczesanie wskazuje rycina 1; gałązka z kwiatów podpięta z boku przedstawiona jest na rycinie 16.



N. 52. Kapturek z puszkiem łabędzim. Krój na arkuszu Nr IV, Fig. 14 — 15.



N. 56. Stanik wycięty z gorsecikowem przybraniem, do ryc. 9 i 12 w N. 2.



N. 60. Kasetka do lisów. Patrz ryc. 59



N. 58. Rękaw do ryc. 10 w N-rze 2.

N. 5. Kapelusik biały filcowy dla małej dziewczynki.

Podszycie białe pluszowe zachodzi na wierzch rondka na 2 centym.; zwierzchnie przybranie składa się z kokardy ułożonej z białej deseniowej wstążki atłasowej 10 cent. szerokiej.

(*d. c. n.*)



N. 63. Wyszycie na gazie, do chusteczek, woalek i t. p.